Nr. 151. Lwów — Sroda dnia 6 Lipca. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie I godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOLECZNY I LITERACKI.

[illegible] w kraju i w Austryi miesięcznie [illegible] w Niemczech [illegible] w innych państwach [illegible]
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
[illegible] petitowy albo jego miejsce . . . [illegible]
„Drobnych ogłoszeniach“ [illegible]
[illegible] tłustym petitem po . . . . . [illegible]
[illegible] garmondem po . . . . . [illegible]
Korespondencye prywatne za każde słowo [illegible]
[illegible] petitem po . . . . . [illegible]
Nadesłane na trzeciej stronicy: [illegible], wiersz petitowy albo jego miejsce [illegible] [illegible] . . . [illegible] ct. | Nekrologia . . [illegible]
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO [illegible]NNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 6.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym [illegible] od wiersza.

Dziś: Wt. | św. Izajasza Pr. | Rożd św. Joana
Jutro: Śr. | św. Pulcheryi P. | Fewronyi

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 4 m. 14
Zachód „ „ 7 „ 54

Długość dnia g. 15 m. 40
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 5 lipca.

O wielkiej klęsce Hiszpanów doniosły wczoraj i dziś donoszą depesze z Nowego Yorku: amerykański admirał Sampson wdarł się do zatoki Sant Jago, zaatakował eskadrę Cervery, spalił ją i zniszczył zupełnie. Przeczą temu depesze madryckie, zapewniając, że Cervera wymknął się z zatoki Sant Jago i odpłynął na pełne morze. Osądzić niepodobna, które depesze głoszą prawdę, lecz jeśli zawiera się ona w telegramach amerykańskich, to stało się ogromne dla Hiszpanii nieszczęście, jej Sedan w tej wojnie, którą odtąd musi ona uważać za przegraną. W porównaniu z tą klęską, niczem są dwie inne, które jednocześnie w nią uderzyły. Ani zaokupowanie wysp Złodziejskich, dokonane mimochodem, bez walki i straty czasu, ani bój nieszczęśliwy pod Sant Jago nie mają pod względem strategicznym takiego dla Hiszpanii znaczenia, jak strata eskadry Cervery. To jest wypadek najważniejszy w tej wojnie i decydujący o jej końcu, — tak straszny i sam przez się, i swymi skutkami, że niemal uwierzyć trudno, aby mógł się stać. Wątpliwości nasuwają się liczne. Więc najpierw: jak mogły się spalić żelazne, pokryte stalą krążowniki, z których wyłącznie składała się eskadra Cervery? Więc następnie: jakim sposobem kolosy Sampsona mogły przez wąską szyjkę wpłynąć z morza do zatoki, kiedy przy tej szyjce, z dwóch jej stron, wznoszą się potężne forty, które pociskami swymi mogą strychować całą wody powierzchnię? Wprawdzie donosili Amerykanie, że fort Morro zdołali w części zburzyć, ale o forcie Estrello sami pisali, że jest wprost niezdobyty i dlatego postanowili byli nie zaczepiać Cervery, dopóki nie obsadzą swym wojskiem wszystkich brzegów zatoki. A zatem, chcieli go wziąć głodem. Podobnych wątpliwości mogłaby podnieść się więcej, a w końcu przypuścić, że Amerykanie, mistrze w humbugu, zmyślili swe morskie zwycięstwo tak ogromnego znaczenia. Ale depesza brzmi poważnie, zapewnia ona, że wiadomość o zwycięstwie nadeszła osobno do Mac-Kinleya, a osobno do ministeryum wojny, więc trudno w nią wątpić.

Moralny wpływ tej klęski musi być wstrząsający i on właśnie przeważy szalę wojennego szczęścia na amerykańską stronę. Bo zwycięskie boje jenerała Shaftera z jenerałem Linaresem, który już poległ, nic nie znaczą. Nie sztuka pokonać 2000 Hiszpanów, mając 17 tysięcy piechoty, 86 dział i sześć tysięcy powstańców pod komendą Garcii. Zresztą zamiast zabitego Linaresa stanął na placu boju, wprawdzie bardzo zapóźno, jenerał Pando ze swą dywizyą i w rezultacie Sant Jago jeszcze nie jest wzięte. Lecz gdyby nawet się poddało, i toby nie wiele znaczyło. Niedarmo przecież Cervera, zamknąwszy się pod tem miastem, w tę stronę wyspy — w stronę najdalszą od stolicy Hawany — ściągnął siły amerykańskie. Stąd one muszą z niezmiernym mozołem rozszerzać się po kraju i niknąć od tropikalnych upałów i straszliwej malaryi, zwanej „vomito negro“. W takiej samej porze, w r. 1802, odbywała się angielska wyprawa na S. Domingo. Wówczas codzień na „vomito“ umierało po 1200 angielskich żołnierzy i w miesiąc po wylądowaniu już cała brytańska armia była zdezorganizowana. To samo teraz stać się może z Amerykanami w Sant Jago. A posiadanie jego przedstawia małą strategiczną wartość. Nie jest ono kluczem do wyspy i samo przez się nie przedstawia pokaźnej zdobyczy. Złożone z parterowych domków — bo wyższych z powodu częstych trzęsień ziemi budować nie można — leży wśród uroczych pagórków, porosłych cytrynowymi gajami i palmami, jest podobno bardzo piękne, ale ciche, senne i małe, bo liczy tylko 40 tysięcy mieszkańców. Lecz jeszcze ważniejsze to, że wąską, nadmorską dolinkę rzeki Jarayo, przy której ujściu do morza rozłożyło się Sant Jago, oddziela od reszty wyspy dziki grzbiet Sierra Maestra, gdzie nie ma żadnych dróg, a ścieżki podczas zbliżającej się pory deszczowej nie są do przebycia dla konnych i pieszych, a cóż dopiero dla ciężkich transportowych wozów i armat, bez których żadna armia ruszyć się nie może.

Więc opanowanie Sant Jago będzie jedynym z takich czynów, które militaryści nazywają fajerwerkiem. Natomiast zniszczenie eskadry Cervery, jeżeli się stało, gotowo stać się dynamitem, który wybuchnie w Hiszpanii, aby jej rząd i ustrój państwowy powalić na ziemię.

Gabinet francuski p. Brissona w pierwszem głosowaniu uzyskał w parlamencie większość 316 głosów przeciw 230. Dziwną zaiste mięszaniną przedstawia ta większość rządowa. Za programem p. Brissona oświadczyły się obok radykałów i socyalistów także niektóre z tych samych frakcyi republikańskich, które przed kilkunastu jeszcze dniami popierały konserwatywny gabinet p. Meline'a, a także Deroulède'owska frakcya nacyonalistów, stanowiąca przeciwieństwo socyalizmu. Dziwnym atoli jest także cały charakter nowego gabinetu. Złożony z samych radykałów, w programie swym unika starannie przyrzekania radykalnych reform, o które gorąco dopominali się dzisiejsi ministrowie, gdy byli zwykłymi deputowanymi, lawiruje między konserwatywnymi a skrajnymi postulatami, pozytywnego nic nie przyrzeka, a ogólnikowo wszystko, zapowiada reformy, nie podając terminu, kiedy się do nich zabrać zamyśla, tak, że rozmaicie sobie można tłumaczyć jego zamiary. — Nad ułożeniem tego programu pracował gabinet aż przez cztery dni — nic jednak dziwnego, wobec kłopotów sformowania, że dla tego ministrowie, jakkolwiek wszyscy noszą firmę radykalną, w poglądach swych na wiele kwestyi, różnią się między sobą zasadniczo. Różnica zdań zachodzi głównie w najważniejszej kwestyi zajmującej obecnie umysły we Francyi, to jest w kwestyi rewizyi procesu Dreyfussa. Prezes gabinetu Brisson znany jest jako obrońca Dreyfussa, wyraził się niejednokrotnie, iż wierzy w jego niewinność, to też syndykat Dreyfussowski powitał nominacyę jego z wielkim zapałem. Natomiast do zdecydowanych przeciwników Dreyfussa należy nowy minister wojny Cavaignac i w swoim czasie przemawiał energicznie za pociągnięciem Dreyfussowskiego syndykatu do surowej odpowiedzialności, to też prasa Dreyfussowska pisze dziś ironicznie, że Cavaignac będzie jedyną komiczną figurą w nowym gabinecie. Na razie jednak Cavaignac wziął przewagę w gabinecie w tej kwestyi i temu też przypisać należy, że taka dziwna większość rządowa powstała.

Republikanie i nacyonaliści głosowali za rządem, bo Cavaignac daje im gwarancyę, że nie dopuści do rewizyi procesu Dreyfussa, radykaliści zaś i cała prasa giełdziarska popierają rząd dla tego, bo pokładają w Brissonie nadzieję, że przecież uda się mu z czasem wygryść Cavaignaca i doprowadzić do rewizyi.

Na liście członków gabinetu Brissona znajdujemy obok znanych nazwisk, także nazwiska mężów, o których dotąd bardzo mało było wiadomo i których niepodobna należycie sklasyfikować.

Szef gabinetu, Henryk Brisson, był po raz pierwszy prezesem gabinetu w r. 1883 po upadku Ferry'ego i okazał się na tem stanowisku wielce nieudolnym. Mimo to jednak zachował powagę w łonie stronnictwa radykalnego i brano go później jeszcze niejednokrotnie w kombinacyę. Zawdzięcza to temu, że nigdy nie angażował się zbytnio dla jakiegoś specyalnego kierunku w obrębie radykalnej partyi. Przed kilkunastu dniami przy wyborze na prezydenta izby trzykrotnie pobity, mimo to powołany został obecnie do steru rządów. Podjęcie się misyi utworzenia gabinetu kosztowało go jedną ciężką ofiarę: co musiał przyjąć w skład gabinetu Cavaignaca, z którym wcale nie sympatyzuje. A jednak musiał to uczynić, bo w obec panującego dziś we Francyi prądu, radykalny gabinet bez Cavaignaca byłby wręcz niemożliwy.

Osobistością, która na razie nadaje ton gabinetowi, jest Cavaignac. Narodowo usposobione stronnictwa żywią nadzieję, że uda się mu złamać stanowczo syndykat dreyfusowski i dla tej nadziei przebaczają gabinetowi już z góry jego przyszłe grzechy. Cavaignac zawiaduje najpopularniejszą dziś we Francyi teką wojny i ma opinię uczciwego człowieka. Oczywiście, że zarówno Brisson jak i teraźniejszy minister oświaty Bourgeois będą się starali przy lada sposobności podstawić mu nogę. Sarrien, minister sprawiedliwości, zawiadywał już wszystkiemi możliwemi ministeryami, lecz nie okazał wybitnych zdolności w żadnym kierunku. Lockroy, minister marynarki, był stałym wrogiem wszystkich swych poprzedników na tym urzędzie. Ma on w każdej chwili w kieszeni całą paczkę gotowych planów zupełnego przeistoczenia floty francuskiej. Był ministrem marynarki w gabinecie p. Bourgeois i wtedy zwalczał namiętnie admirała Gervais, ale zrobił sromotne fiasco. Wsławił się tem, że będąc ministrem, zakazał obchodzić uroczyście wielki piątek na okrętach wojennych. To zapewne stanowiło dlań obecnie w oczach Brissona najlepszą kwalifikacyę. Delcassé, minister spraw zagranicznych, zmieniał także dotychczas teki ministeryalne jak rękawiczki, lecz nie odznaczył się niczem. Z góry już można przepowiedzieć, że będzie to mierny kierownik polityki zagranicznej i nawet w części nie zastąpi wytrawnego p. Hanotaux. Minister rolnictwa Viger, to jedyny fachowiec w obecnym gabinecie, o którym można powiedzieć, że słusznie mu się piastowany przezeń urząd należy. Ma on opinię doskonałego rolnika. Inni ministrowie jak Trouillat, Maruejols i Tillaye to ludzie nowi, zupełnie dotychczas nie znani.

Główną cechą nowego gabinetu, jak to zaznaczyliśmy na wstępie, jest ta, że jakkolwiek jest radykalny, właściwie zarzuca cały program radykalny. Ministrowie Peytral, Bourgeois i Cavaignac jako posłowie postawili trzy odrębne wnioski reformy obecnego systemu podatkowego, dziś jako ministrowie, przyswoili sobie czwarty, którego autorem jest umiarkowany republikanin Delombre, a który w niczem nie jest podobny do owych trzech radykalnych. Brisson i jego koledzy w gabinecie jako posłowie domagali się rewizyi konstytucyi, zostawszy ministrami odstąpili od tego żądania. Brisson jest zapalonym zwolennikiem wolnego handlu a wrogiem wszelkich ceł, tymczasem pierwszym jego krokiem rządowym jest przywrócenie cła na zboże, podczas gdy konserwatysta Meline ulegając krzykom radykałów musiał je znieść.

W długą egzystencyę gabinetu Brissona nikt nie wierzy. Kaprys parlamentu wyniósł go na szczyt, kaprys może go każdej chwili obalić.

Prasa niemiecka. — Rezolucya libereckiej Izby handlowej. — Konferencye ugodowe.

Piszą nam z Wiednia, 4 lipca:

Wskazując na dawne tradycye Koła polskiego, jego wytrawność i charakter stronnictwa państwowego i t. d., *Montagspresse* w długim artykule wstępnym wzywa Koło, aby zajęło stanowisko pośrednika, odsunęło od siebie wszelkie „utopie panslawistyczne“ i t. d. W artykule liberalnego tygodnika niemieckiego jest jedna uwaga słuszna: że najwięcej Polacy tracą na ubezwładnieniu i usunięciu parlamentu na bok. To też Polacy, nakoniec jeszcze za pomocą wniosku Milewskiego, uczciwie się starali wprowadzić machinę parlamentarną w ruch prawidłowy. Wobec posuniętej do idyosynkrazyi i zaślepiającej zupełnie wzrok polityczny namiętności tak Niemców, jak Czechów, najuczciwsze zamiary i propozycye Polaków stały się daremnemi. Zresztą dzienniki i tygodniki tutejsze głównie się przyczyniły do zniechęcenia Polaków. Także wobec najnowszej fazy, stanu wyjątkowego w Galicyi, prasa niemiecka nie zajęła wcale stanowiska, któreby mogło wywołać u nas sympatyczny oddźwięk. Zamiast poprzestać na potępieniu rozruchów, co czynią wszystkie polskie organa poważnej opinii publicznej, prasa tutejsza i z tej okoliczności skorzystała, aby napadać na Polaków wogóle, a w szczególności na szlachtę. W tej taktyce spotkały się przyjaźnie pisma najodmienniejszych kierunków, *Neue Freie Presse* i *Deutsches Volksblatt*, radykalny tygodnik *Zeit*, ogłaszający w ostatnim zeszycie przepełniony przewrotnemi insynuacyami artykuł posła Daszyńskiego, i żydowsko-ortodoksalna *Oesterreichische Wochenschrift* b. członka Koła polskiego dr. Blocha. W ten sposób nie zachęca się Koła do zajęcia roli przyjaznego pośrednika i nie ułatwia się zadania tym z pomiędzy nas, którzy pomimo wszelkich trudności w wyższych celach politycznych usiłują nie „wytwarzać aliansu polsko-niemieckiego“, jak gawędzą niedorostki polityczne, ale zapobiedz rozpowszechnieniu się takiej plemiennej nienawiści pomiędzy Polakami a Niemcami (austryackimi), jaka istnieje w Czechach, uniemożebniając tam wszelką dodatnią politykę państwową.

Ciekawe intermezzo stanowi uchwała libereckiej Izby handlowej w sprawie zaburzeń w Galicyi. *) Uchwała ta podnosi ważne stosunki ekonomiczne pomiędzy przemysłem w Czechach a Galicyą. Mówiąc wyraźniej, świetny rozwój przemysłu, zwłaszcza fabrycznego w Czechach, opiera się w bardzo znacznej części na tem, że Galicya, pozbawiona dotąd przemysłu na wielką skalę, jest głównym odbiorcą towarów z Czech. Najczęściej, aby zaznaczać „passywność“ Galicyi, i Niemcy i Czesi podnoszą, że Czechy płacą bezpośrednich podatków $111\frac{1}{2}$ miliona zł., Dolna Austrya $111\frac{1}{3}$ miliona zł., a Galicya największa i najludniejsza prowincya, tylko $47\frac{1}{2}$ miliona zł. Że w tych znacznych kwotach podatkowych Czech i Wiednia ukrywają się ogromne sumy, które do dwóch prowincyi wpływają z Galicyi, jako głównego odbiorcy towarów, o tem w normalnych czasach ostrożnie się milczy. Gdyby do Galicyi z jednej strony, a do Czech i Dolnej Austryi z drugiej, zastosowano tę metodę, która obecnie ma być zastosowana do Austryi i Węgier, t. j. że podatek przypisuje się stronie konsumcyi, nie produkcyi (zależnej od pierwszej), natenczas z owych 220 milionów podatku Czech i Wiednia bardzo znaczna część przypadłaby na Galicyę. Rezolucya Izby handlowej libereckiej wyraźnie odsłania ten zwykle przestrzegany ostrożnie „sekret“, który pozwala deklamować o aktywnych i passywnych prowincyach. Fabrykanci Czech drżą z obawy, że wskutek rozruchów i osłabienia ekonomicznej siły Galicyi, eksport towaru do tej prowincyi mógłby uledz zastojowi, że fabryki w Czechach (i w Wiedniu) będą zmuszone znacznie obniżyć swą produkcyę, gdy zabraknie odbiorców w Galicyi na dotychczasowe rozmiary! Nic nie mogłoby dobitniej dowieść, że rozkwit tego przemysłu zachodnich prowincyi w głównej rzeczy opiera się na konsumcyi Galicyi.

Na wczorajszej konferencyi wiernokonstytucyjnych większych właścicieli Czech nie zapadła formalna uchwała, ale zebranie wyraziło jednak gotowość uczynić zadość ewentualnemu zaproszeniu rządu na konferencye ugodowe. Jak wiadomo, także w r. z. ta grupa zrazu oświadczyła się za obesłaniem konferencyi, zaproponowanej przez hr. Badeniego, ale następnie, ulegając naciskowi innych stronnictw niemieckich, cofnęła się. Obecnie p. Baernreither silnie wpływa na swych kolegów w kierunku ugodowym, może więc zeszłoroczna ewolucya nie powtórzy się.

Niby to w depeszy z Pragi *Sonn- und Montagszeitung* donosi, że w razie spełznięcia konferencyi na niczem, rząd „zniesie rozporządzenia językowe i na podstawie artykułu 14-go ogłosi ustawę językową“. Jest to pogłoska najmniej prawdopodobna. Z różnych stron zresztą, także w *Morawskiej Orlicy* zaznaczają, że hr. Thun na konferencyi z młodoczechami nie poprzestał na pogadance informacyjnej, lecz przedłożył ściśle określone propozycye. Istotnie w teraźniejszym stanie rzeczy wyraźna inicyatywa rządu jest konieczną. Rozdrażnienie narodowościowe bowiem przybrało takie rozmiary, że o bezpośredniem porozumieniu się dwóch spornych stron bez stanowczej interwencyi rządu nie może być mowy. Jeżeli zresztą mowa Komarowa radykalne koła czeskie mogła utwierdzić w niepojednawczości i w taktyce „wszystko albo nic“, to sposób, z jakim teraz prasa rosyjska traktuje ten występ, powinien wywołać w Czechach zupełnie wytrzeźwienie i ułatwić poważniejszym politykom czeskim zwrot w kierunku ugodowym. Lepszy wróbel w ręku, niż gołąb na dachu.

*) Na piątkowem posiedzeniu izby handlowej w Libercu, członek tej izby p. Stöhr wskazał na niebezpieczeństwo grożące przemysłowi i handlowi skutkiem zaburzeń w Galicyi, będącej ważnym rynkiem zbytu dla przemysłu północnych Czech. P. Stöhr w nagłym wniosku wezwał prezydyum izby, aby w tym wypadku wystąpiło w obronie zagrożonego przemysłu i przedstawiło rządowi, iż niezbędną jest rzeczą środkami jak najenergiczniejszymi uzdrowić stosunki galicyjskie. Wniosek ten przyjęto. Prezydent izby Neumann zwrócił uwagę na to, że zaprowadzenie stanu wyjątkowego i sądów doraźnych na razie przywróciło spokój, należy jednak postarać się o to, aby ten spokój nie opierał się tylko na bagnetach. Gdyby bowiem smutne i tak z powodu ostatnich nieurodzajów stosunki w Galicyi jeszcze bardziej się pogorszyły, odczułyby to zaraz fabryki czeskie i one w znacznej części musiałyby zapłacić koszta rabunków galicyjskich.

Co i o czem piszą.

Ogłoszenie stanu wyjątkowego w zachodnich powiatach spotkało się z namiętną, ale niemotywowaną krytyką w paru galicyjskich dziennikach, które ze srogiem oburzeniem jęły wołać, że „takiej obrony niewarte były bety i szyby żydowskie“. Ze zdumieniem notuje *Słowo* warszawskie takie zachowanie się tych paru dzienników i tak pisze dalej:

Dla patrzących zdaleka jest to wszystko, co się od kilku tygodni dzieje między Rabą a Sanem, niesłychanie smutne i drażniące. Wyobrażamy sobie, że podobnego wrażenia doznają i ci, którzy rozruchom tym przypatrują się zblizka, jakkolwiek ton niektórych organów galicyjskich wcale o tem nie świadczy. Smutne jest przedewszystkiem przeświadczenie, iż dola milionów ludności włościańskiej musi w tej prowincyi być w istocie opłakana, skoro w tych duszach chłopskich mogło się tam nagromadzić tyle goryczy, nienawiści, fanatyzmu i skoro lekkomyślna i niesumienna agitacya mogła w krótkim czasie te pierwiastki doprowadzić do czynów zbrodniczych. Smutny jest stan kraju, w którym wśród rywalizacyi stronnictw najruchliwszymi i najbardziej wpływowymi okazali się ci, którzy społeczeństwo takiem obdarzyli żniwem.

24)

Pan Podfilipski.

(Ciąg dalszy).

W Trzebini, opuszczając nas, dotknął zlekka czapki, milcząc. Przesiedliśmy się do sypialnego wagonu, ale Podfilipskiego nurtowała nieprzeparta już chęć dowiedzenia się, kim jest nasz zagadkowy towarzysz. Spostrzegłszy go raz jeszcze na peronie i widząc, że szwajcar nisko mu się kłania, zawołał natychmiast tego szwajcara:

— Mój przyjacielu — kto to jest ten pan, który tam idzie?

— Ten w szarym płaszczu? To książę Janusz Zbarazki z Warn.

— O, psiakrew...—zwrócił się do mnie Podfilipski ze znacznem na twarzy rozczarowaniem.

Przez chwilę nawet nic nie mówił i oddawał się nieprzyjemnym przypomnieniom; wreszcie rzekł:

— Omyliłem się. Ale bo też i wygląda... Powiedziało się trochę rzeczy niepotrzebnych. Już ten dziennik posiedzeń Reichsrath'u powinien był mnie ostrzedz... Zdaje mi się, że jest tam posłem... no i stryjem Freda. Tak — pomyliłem się. Jak to nigdy nie można być dosyć ostrożnym!

Jedyny to, zdaje się, raz stwierdziłem *lapsus*, który się zdarzył panu Zygmuntowi. Przytaczam go tutaj dla prawdy historycznej moich wspomnień, dla interesującej zasadniczej rozmowy, a także dla podniesienia taktu pana Zygmunta.

Niech mnie czytelnik źle nie rozumie i nie poczyta mi za ironię, że w obec pomyłki towarzyskiej mówię o takcie. Trzeba było widzieć szczere jego zmartwienie i szczere przyznanie się do winy. Pośliźnięcie się na tej ścieżce *savoir vivre*'u, po której tak pewno stąpał, bolało pana Zygmunta, jak wielkiego chirurga boli szkodliwe drgnięcie ręki, raz jeden w przeciągu całej karyery wydarzone.

Dbał przytem o księcia Zbarazkiego, choć go nie znał: człowiek ten należał do ulubionych przez niego, a nawet istotnie do najwyższych pod każdym względem sfer. Jakkolwiek Podfilipski mało co sobie robił z opinii publicznej, chciał mieć uznanie „u swoich“. Martwiło go też niewłaściwe zastosowanie teoryi do słuchacza.

— Teorye moje nie są nigdy absolutne — mawiał.

Ostatnia to była moja podróż z panem Zygmuntem i ostatni raz wtedy przeżyłem z nim kilkanaście szczytnych dni zagranicą. Był to niby sen. Podfilipski, wolny od swej misyi cywilizacyjnej, wciągał jednak pełną piersią cywilizacyę i oddychał nią razem z upajającym zapachem słonecznych okolic Montecarlo. W jego rozmowie rzadko pojawiał się gryzący pierwiastek krytyki, tak cenny i potrzebny u nas, pozostała głównie czysta, niezamącona przeciwieństwami życia teorya i rozkoszna, pozbawiona hamulców, praktyka. Postawą, oczyma, głosem mówił ciągle: Tak się żyje! — Nie znaczy to jednak, by mnie gnębił żmudnym wykładem, albo oprowadzał po krajach tych, jak *cicerone*. W blasku jego twarzy, w pogodzie ducha odbijała się cudowna Riviera, jak w mądrem zwierciadle czarnoksiężnika, które obrazów nie powtarza, ale je tłómaczy.

Podczas naszego tam pobytu, chmury nie zebrały się ani razu nad morzem, nie przewiały szczytów szaremi mgławicami i nie obległy nigdy czoła pana Zygmunta. Był pogodny, jak to niebo uśmiechnięte błękitem, słowa jego brzęczały, jak złoto, przelewające się przez ten kraj szczęśliwy i panował tak moralnie nad otoczeniem swem, jak kopuły wielkiego Kasyna panują nad spiętrzonym w tarasy wyniosłym brzegiem morza, gdzie afrykańska roślinność, przywalona i ujęta kamiennemi schodami, zdaje się walczyć z tryumfem dzieł ludzkich i skłaniać przed nim swe palmowe czoła.

Poniewolnie wpadam w liryzm — bo też trzeba było widzieć Podfilipskiego w tej ramie i na tym piedestale.

Pamiętam nasz przyjazd. Już od Genui mieliśmy za towarzyszów pachnący upał i morze. Wrażenie to jest zawsze ogromne. Kiedy po zimie, spędzonej w północnym klimacie, po raz pierwszy zobaczysz Śródziemne morze w pogodny dzień, gdy zaśmieje się błękitna, drobna fala i zaiskrzy nieujętemi setnemi skrami, jak namiętne oczy kobiece, odrazu tracisz pamięć przeszłych dni, trosk i obowiązków. A zapach ten! Ile razy przystanie pociąg i możesz wyskoczyć z wagonu, wciągasz płucami jakby wino bardzo subtelne i czujesz, jak ci ten napój przechodzi w żyły, w krew. Nie wiem, co tam pachnie głównie? pomarańcze, róże, żywica cedrów, podwodne algi i cuchy morskie?... zapewne — ale cały świat pachnie.

Przez te zapachy i kolory pędził nasz pociąg roziskrzonym rankiem, chowając się co chwila w tunele. Po każdem wyjściu z pod ziemi, uderzał nas nowy rysunek wysokich skał wybrzeża, których nagość żółto-czerwona gdzieniegdzie przebijała przez szatę z bogatych ogrodów i jasnych willi. Zatoki wyglądają aż sztucznie i nieprawdopodobnie: każda ma inne światło, inny sens malowniczy.

Jedyny to może dojazd do celu podróży, gdzie nie pilno podróżnemu dojechać. Widok bowiem, nawet z okien wagonu, jest tak piękny, tak coraz piękniejszy, że przez parę godzin masz uczucie zapadania w miły sen, albo w rozkosz upojenia snem.

Nareszcie nad zatoką jeszcze błękitniejszą, na dwóch skałach jeszcze wspanialszych, ukazały nam się złociste dachy kasyna w Montecarlo i zamek książęcy w Monaco. Zadudniał jeszcze pociąg w paru tunelach i osadził się z całego prawie rozpędu przed dworcem.

— Montecarlo! — zabrzmiał kilkakrotnie okrzyk konduktorów.

— Czy uważa pan, jak konduktorowie krzyczą tu głośniej, niż na innych stacyach? Cieszą się nawet oni — rzekł pan Zygmunt.

Zatelegrafował już z Medyolanu o swym przyjeździe; czekał więc na nas portyer z Grand hotelu i powitał Podfilipskiego niskim ukłonem:

— Pan hrabia tego roku później do nas zjechał.

— A później. Jak się masz, mój stary?

— Dziękuję panu hrabiemu — trzymam się. A zdrowie pana hrabiego, czy jest na wysokości jego pięknego pozoru?

— Jak widzisz, mój przyjacielu.

— To wybornie. Luigi! bagaż tych panów!

Mówił prędko, swobodnie i dworsko zarazem, jak człowiek otrzaskany z największym światem.

Wsiedliśmy na stacyi do windy osobowej, jeszcze parę razy ukłoniono się Podfilipskiemu, i po chwili stanęliśmy naprzeciw kasyna.

Pan Zygmunt, z umiarkowanym ruchem ręki i uśmiechem, rzekł mi:

— Jesteśmy w domu.

Po dobrej godzinie, użytej na kąpiel i przebranie się, spotkałem pana Zygmunta na śniadaniu, które zjadłszy pospiesznie, poszliśmy piechotą na główny plac przed domem gry.

Podfilipski już był ubrany, jak wszyscy, to jest jak najwytworniejsi z przechodniów: miał jasne flanelowe spodnie, trzewiki żółte z trzema żółtymi guzikami, kapelusz miękki z dużym brzegiem i jasny parasol od słońca. Mnie brakowało dużo do takiego kompletu, ale pan Zygmunt zaraz mi podał adresy i pożyczył nawet drugiego parasola.

Parasol był potrzebny, bo kwietniowe słońce prażyło, jak w lipcu. Jednak zieloność palm, mirtów i innych wielkich krzewów była świeża, cień jeszcze wiosenny, więc chłodzący, a od morza szedł leciutki powiew, głaszcząc niby wonnym puchem po twarzy.

Minąwszy dom gry, stanęliśmy na granicy tarasu, skąd widać ogród spadający ku morzu, szafirową zatokę i ogromną skałę Monaco, rzucającą gorący cień na fale.

Jeżeli sztuka w ogóle ma być „zakątkiem świata widzianym przez temperament“, krajobraz jest tem napewno. Ten najpiękniejszy chyba widok w Europie, Podfilipski odczuwał także przez swój temperament i, jak zazwyczaj oryginalnie. Nie był on marzycielem, ani artystą, — był filozofem i dyalektykiem: obraz ten oceniał przez porównanie.

— Co, panie — mówił — pyszne morze? Jak ładnie się mieni tam daleko, a tu znów ma po sobie zielone i rude plamy. To warto malować. To nie „Wisełka szara“, o której śpiewają nasze kataryni i którą bazgrzą pańscy malarze. A ta roślinność, te zbite ciemne masy liści, te szlachetne kształty palm i agaw — to nie nasze chude krzewy i monotonne drzewa!

— Jednak drzewa oliwne bardzo podobne do wierzb, a znowu nasze lasy mają swój urok, który temu nic nie uwłacza — odrzekłem.

— Co to za porównanie! Ale może pana to gorszy?

— Dlaczego ma mnie gorszyć? Ja ten krajobraz także kocham, bo jest piękny — co mi nie przeszkadza kochać i tamten.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ale niemniej smutne są moralne następstwa całej tej wojny domowej. Czy setki zubożonego żydostwa, pomnażając proletaryat, którego już dzisiej Galicyi nie brak, przyczynią się do podźwignięcia kraju, jest to pytanie, na które każdy łatwo znajdzie odpowiedź. Warto się atoli zastanowić i nad tem, czy gromady włościan, którzy spędzali noce na wyprawach, powracają z nich z większym zapasem cnót i zalet obywatelskich. Sądzimy, że nie. Sen na zrabowanej poduszce nie pokrzepia duszy. Oko, przyzwyczajone do widoku zrabowanych rzeczy, przestaje z czasem odróżniać złe od dobrego. Kilka tygodni, spędzonych na takich hulankach, zniszczą długą pracę tych niewielu czynników, które pracują nad podźwignięciem moralności ludu.

Żaden rząd na świecie nie może patrzeć spokojnie na takie rozhukanie namiętności społecznych. Można spierać się o to, czy polityka ekonomiczna w państwie i prowincyi powinna być odtąd taka sama, jak poprzednio, czy odmienna; można dowodzić, że powinna przybrać ten lub ów kierunek; można popierać program konserwatywny lub socyalistyczny, — chrześcijańsko-socyalny lub radykalno-ludowy, na jedno wszakże zgodzi się każdy, kto nie hołduje skrajnej anarchii, a mianowicie na to, że zanim nadejdzie pora spierania się o programy, trzeba przywrócić porządek. Można wydać surowe prawa przeciw żydom, ale nawet, gdyby wydanie takich praw było możebne i pożyteczne, trzeba żelazną ręką karcić tych, którzy na własną rękę zabierają się do załatwienia tej kwestyi społecznej za pomocą pałki i kamienia.

Zacząć się powinna robota trudniejsza, dłuższa, a tak niesłychanie spóźniona. Robota nad pozyskaniem zaufania ludu, który nareszcie powinienby przestać być igraszką w ręku tych, którzy prowadzą go ostatecznie na kule z karabinów austryackich i przed sąd doraźny.

* * *

Czas donosi, że w Krakowie wyszła po rosyjsku książka p. t.: „K woprosu ob obrussienii katolicizma w zapadnom kraju“. (Przyczynek do kwestyi rusyfikacyi katolicyzmu w kraju zachodnim). Przedstawia ona usiłowania rządu rosyjskiego celem wyrugowania języka polskiego z nabożeństwa dodatkowego w kościołach katolickich na Litwie, Rusi, a zastąpienia go rosyjskim.

Pierwszym kościołem katolickim, w którym użyto podczas nabożeństwa języka rosyjskiego, był kościół w Bobrujsku w gub. mińskiej. Wprowadził go w r. 1862 tameczny proboszcz ks. Makarewicz z obawy, aby w tych rewolucyjnych czasach kościoła nie zamknięto. Kiedy w r. 1863 nastąpiło powstanie i wkrótce upadło, ogarnęło naród wielkie przygnębienie ducha, i w takich to okolicznościach ks. Makarewicz znalazł naśladowców, pragnących się przypodobać rządowi rosyjskiemu. Najgorliwszym rusyfikatorem był niejaki Sienczykowski, ksiądz, który zrazu był gorącym patryotą polskim, i za złamanie pieczęci rządowej na jednej z polskich kaplic, omal nie poszedł na Sybir. Zaaresztowany jednak, po kilku miesiącach więzienia odzyskał wolność, lecz widocznie przyjął jakieś zobowiązania względem rządu, gdyż na stanowisku katechety w Błońsku (w pow. ihumeńskim) nietylko modlitwy za cara odmawiał po rosyjsku — na czem dotychczas poprzestawali inni księża renegaci — lecz nawet dawał śluby, chrzcił i spowiadał po rosyjsku, a śpiew polski zupełnie wyrugował ze swego kościoła.

Dla dyecezyi mińskiej i wileńskiej nastał smutny okres, gdyż prałaci, mający niemi zawiadować, pozwolili gubernatorom tych prowincyi wtrącać się do spraw kościelnych na każdym kroku. Wreszcie w r. 1869 wyszedł ukaz carski, w którym „najmiłościwiej zezwolono na używanie języka rosyjskiego w nabożeństwie i w ogóle w rzeczach religii“. Zezwolenie to było oczywiście rozkazem, który czynownictwo rosyjskie jak najprędzej wprowadzało w życie. Minister spraw wewnętrznych przyznał t. zw. księżom rytualistom dodatek osobisty w wysokości 100 do 370 rubli, a organistom w wysokości 180 rubli. Konsystorz i dekanaty stały się niejako kancelaryami urzędowemi, gdyż urzędnicy rosyjscy pozwalali sobie każdej chwili wglądać w sprawy kościelne, zwłaszcza że polecono im kontrolować gorliwość tych księży, którzy pobierali dodatki za rusyfikacyę nabożeństwa. Taki był to czas, kiedy kampania „obrussienia katolicizma“ miała największe szanse powodzenia. Wkrótce jednak po śmiałem wystąpieniu ks. Piotrowicza, proboszcza parafii św. Rafała w Wilnie, musiała się ona zamknąć terytoryalnie tylko w obrębie gubernii mińskiej. Dzięki odporności pewnej liczby zacnych kapłanów i niezmordowanej czujności wiernego ludu, rząd zajął w tej sprawie stanowisko już tylko obronne, próbując utrzymać język rosyjski w tych tylko parafiach, w których go zaprowadzono. Niedawno jednak, już po układzie z Rzymem w tej sprawie, rząd rosyjski próbował nietylko utrzymać się przy dotychczasowych rezultatach polityki rusyfikacyjnej w Kościele, lecz zamierzał wyrugować całkowicie z dodatkowego nabożeństwa język polski najpierw na korzyść łacińskiego, aby potem, zamiast niezrozumiałej chłopu biało-ruskiemu łaciny, przemycać powoli do Kościoła język rosyjski. — W każdym razie jest to — jak się zdaje — w tym kierunku próba ostatnia, bo Rzym, jak pierwej nie dał się złapać w chytrze zastawione sidła, tak i teraz cierpliwie a roztropnie zdoła z czasem przekonać rząd rosyjski o bezcelowości dla interesów państwowych, a szkodliwości dla interesów religijno-moralnych ludności rzymsko-katolickiej tej kazuistyki biurokratycznej.

* * *

W artykule „Co mają robić nasi technicy?“, czyni *Gazeta techniczna* gorzkie wyrzuty kierownikom naszego miasta, że nie popierają przemysłu krajowego i własnych sił fachowych, lecz wszelkie wolne posady i większe roboty oddają siłom obcym. Na poparcie swoich wywodów, przytacza autor wspomnianego artykułu kilka świeżych spraw, jak sprawę wodociągów projektowanych przez cudzoziemca, (chociaż mamy w tej specyalności kilkanaście dzielnych sił fachowych), sprawę gazowni i t. p. W końcu zapytuje *Gazeta techniczna*, co wobec tego robią nasi technicy? I tak odpowiada:

Technicy nasi wyjeżdżają z ojczyzny i po za jej granicami zdobywają sobie uznanie i majątek. Od wielu lat słychać o inżynierach, wychowankach lwowskiej politechniki, w Rosyi, Turcyi, Bułgaryi, Serbii, Francyi — ba, nawet w Ameryce, Afryce i Azyi. Budują tam oni koleje, kładą kable telegraficzne podmorskie, kierują fabrykami, zajmują w urzędniczej hierarchii technicznej wybitne, naczelne stanowiska. Ile samo państwo austryackie zabiera Galicyi techników, lokując ich przy kolejach, warsztatach okrętowych i w innych działach produktywnej pracy technika fachowca; ilu fachowych inżynierów-górników, pochodzących z Galicyi, pracuje w Czechach, Węgrzech i t. d. U nas nie ma dla nich chleba — są jednak zawsze posady dobrze płatne dla tych „von draussen“, którzy u nas stają się wielkiemi figurami, nie mogąc tego zyskać u swoich.

W Galicyi przyszło do tego, że ojciec, technik z zawodu, syna swego nie zachęca by wstępował na to samo nieproduktywne pole pracy, bo spędziwszy życie w niedostatku, nie znalazłszy uznania swej żmudnej i ciężkiej pracy ma to smutne przeświadczenie, że umierając przedwcześnie zostawi swych najbliższych bez zabezpieczenia. Młodzież też widząc to wszystko nie bardzo się garnie do zawodów technicznych.

„Das Ewigweibliche“ w Padwie.

W starożytnem mieście uniwersyteckiem, Padwie, oryginalną w tych dniach otworzono wystawę. Tamtejsze Stowarzyszenie artystyczne wezwało mianowicie malarzy i rzeźbiarzy, aby nadesłali szkice, ilustrujące pojęcie „wiecznej kobiecości“, takie właśnie, o jakiem myślał Goethe w ostatnich wierszach „Fausta“. Pokazało się, że pomysł był szczęśliwy, bo nadesłano na wystawę nietylko mnóstwo szkiców, ale i obrazów skończonych. Oczywiście Włosi pod względem liczebnym prym trzymają, ale i cudzoziemcy stawili się licznie, co zaś najważniejsza, ilustrowali temat nietylko obrazowo, ale niekiedy i głęboko.

Na czele cudzoziemców stoi na wystawie Włodzimierz Szereszewski, który nadesłał półpostać kobiecą w czerwonej bluzie, którą szkielet porywa do góry. Pod względem technicznym jest to najdzielniejsza praca z całej wystawy, realistyczna, miarkowana wysokim smakiem i artyzmem. I temat tłumaczy się jasno w myśl zasady Lessinga „Czego malarz namalować nie może, niech się każe domyślać“. Znikomość, znikomość i jeszcze raz znikomość. Nawet „wieczna kobiecość“ z pod ponurego tego prawa wyłamać się nie może i po kwiatach dąży — do nicości.

Z malarzy niemieckich najwyżej stanął August Wolf, jakkolwiek kompozycya tego malarza niezbyt ściśle odpowiada założeniu konkursu padewskiego. Drugie miejsce zajął Jerzy Broch, który nadesłał dwie prace: na jednej uroczy krajobraz tonie w blasku zorzy wieczornej, w dali widnieje świątynia grecka, z fioletów wyłania się piękna postać kobieca, a przed nią klęczy młodzian zakochany; na drugiej — u stóp góry skalistej postać męska o spracowanych, żylastych rękach, zapatrzona w obłoki, zaróżowione blaskiem zachodu, na których tonie postać kobieca z pochodnią w dłoni. Zdaje się, że malarz chciał powiedzieć: „Błogosławiona wieczna kobiecość“, jeżeli szczęściem rozjaśnia mroki nocy po upałach dziennego mozołu“.

Austryak Kas dał tryptyk, a na nim: matka karmiąca dziecię, naga postać kobieca, Ewa i dziewczyn w bieli, zbierająca kwiaty.

Bardzo dobry jest tryptyk Włocha Manzoniego. W środku kobieta, po prawej stronie anioł klęczący, w głębi sylwetka wisielca, zaledwie dostrzegana wśród mgieł; później tryumfator rzymski, otoczony geniuszami zarzucony kwiatami przez piękne dziewczęta. Bonatti traktuje temat humorystycznie: dama bardzo „moderne“ siedzi w bujaku, patrząc wprost na widza, obok niej cały tłum maleńkich postaci męskich. Barzilai dał śpiewaka, zaśpiewanego na śmierć, wpatrzonego w płynącą górą niewiastę. Massaroto, uczeń szkół monachijskich, przedstawił młodą dziewczynę, wychodzącą z kościoła, słuchającą szeptu starca. Pastel Sorano w szeregu alegoryi dał dziewczynę, kochankę, żonę, matkę. Silne wrażenie sprawiają dwie postacie niewieście Trevisana, przeglądające się w lustrze, otoczone chmurą widziadeł fantastycznych. Dowcipną jest postać kobieca Niro, tańcząca na piórku, jakby ilustracya do słów: „Kobieto, puchu marny!“

Oczywiście wystawa padewska nie byłaby wystawą włoską, gdyby na niej nie było z pół tuzina Beatrycz, towarzyszących Dantemu.

Udział rzeźbiarzy w wystawie jest względnie słaby. Najlepszą pono pracą jest smacznie modelowany młodzieniec, trzymający dziewczynie nici przy zwijaniu. Na uwagę nadto zasługują: Moleny żywa figurynka adwokatki, Cadovin'a płaskorzeźba, przedstawiająca dwie niewiasty, spierające się o mężczyznę; Sanavio grupa à la Böcklin i Sanquina wykwintnie modelowana, ale niewiele mówiąca postać kobieca.

Słowem — szczęśliwy pomysł i liczny a chętny udział wykonawców projektu. Dwa konieczne warunki powodzenia każdej wystawy.

Miłość znakomitych ludzi.

Edward John Hardy, autor rozgłośnej książki wpół-poważnej, wpół-humorystycznej p. t. „Żonaty a jednak szczęśliwy“, wydał niedawno nowe dzieło zatytułowane „Miłość znakomitych ludzi“, które w krótkim czasie zyskało sobie zasłużone uznanie wśród czytającej publiczności.

Dzięki swemu duchownemu powołaniu pisarz ten miał doskonałą sposobność zbadać słabe strony silnej połowy rodzaju ludzkiego, to też książka jego odznacza się znajomością życia i ludzi. „Miłość znakomitych ludzi“ zawiera mnóstwo zajmujących opowiadań o przygodach miłosnych najwybitniejszych osobistości wszelkich epok i krajów, a wnioski, do których autor dochodzi, dadzą się streścić w zdaniu, że nawet i największy geniusz, mimo sławy i zaszczytów jakiemi bywa otoczony, prawdziwe, istotne szczęście znajduje dopiero w małżeńskiej przystani.

Niedawno zmarły znakomity powieściopisarz Alfons Daudet postanowił był nie żenić się, a to z obawy, aby nieszczęśliwe małżeństwo nie wpłynęło ujemnie na rozwój jego talentu. Rozmyślił się jednakże z chwilą, kiedy pewnego dnia został przedstawiony pannie Julii Allard, znanej ze zdolności pisarskiej i krytyk literackich, i nie żałował zmiany postanowienia, pani Daudet bowiem okazała się nietylko wzorową żoną i gospodynią, ale i dobrą współpracowniczką. Daudet nie wydrukował stronicy, której by żona jego nie przejrzała i w danym razie nie poprawiła. Już po kilku latach pożycia między małżonkami zaszła mała scena o dramatycznym charakterze, jakie zdarzają się nawet i w najidealniejszych małżeństwach. Wśród sprzeczki nagle Daudet zauważył całkiem poważnie: „Wiesz, moja droga, że nasza kłótnia tak wygląda, jak gdyby została żywcem wyjęta z rozdziału jakiegoś bardzo zajmującego romansu“? — „Mój drogi Alfonsie“, odparła dowcipna pani: „znam cię dostatecznie, aby wiedzieć, że też ją żywcem przeniesiesz do której z twoich powieści“.

Walter Scott, będąc dziewiętnastoletnim młodzieńcem, ofiarował swój parasol nieznajomej młodej pannie, którą deszcz zaskoczył, gdy wychodziła z kościoła. Okazało się, że była to córka sir John'a Stuart'a. Scott zakochał się w niej, jak to bywa w sentymentalnych romansach: odrazu i na zabój. Poufały stosunek przyjaźni, który się zawiązał między nimi, trwał sześć lat. Panna jednak wyszła potem za kogo innego. W sześć miesięcy po ślubie swojej „pierwszej miłości“ Scott ożenił się z Karoliną Małgorzatą Charpentier, córką francuskiego emigranta, która wniosła mu w posagu pięćset funtów rocznego dochodu, oraz wiele osobistych przymiotów. Panna Charpentier odznaczała się, między innemi, dowcipem i wielką żywością umysłu. Oryginalny charakter noszą pierwsze listy dwojga narzeczonych. „Zanim zdecyduję się ostatecznie“, pisała w jednym z nich Karolina, „muszę dać panu jedną radę, a mianowicie, aby pan nie używał tak często w swych listach słowa „musi“. Zbyt wcześnie pan zaczyna rozkazywać, ale ja pozwolę sobie nie zwracać na to uwagi. „Musi pani na siebie uważać, powinna pani myśleć o mnie, musi pani często do mnie pisywać...“ Czy naprawdę „musi“ to wszystko pańska przywiązana C. C.?“ W owym czasie Scott nie kochał jeszcze rezolutnej, wygadanej Francuzki o oczach w migdał wyciętych — miłość przyszła dopiero później.

O słynnym satyryku francuzkim Scarionie opowiadają, że zapytany przez notaryusza, który spisywał kontrakt ślubny, jaki posag wnosi jego przyszła żona, odparł śmiejąc się: „Dwoje wielkich oczu, wspaniałą postawę, parę prześlicznych rączek, dowcip i dużo rozumu“. — „A pan co jej w zamian zapewnia?“ — zapytał notaryusz. — „Nieśmiertelność!“ — brzmiała odpowiedź. Scarion dotrzymał słowa.

Na historye Bismarka, Dizraelego i Gladstona wypisano już całe morze atramentu. — Wszyscy trzej byli szczęśliwi w wyborze żon, które godnie odpowiadały wysokiemu stanowisku, na jakiem stali ich mężowie. Pani Gladstone była znana za swoich panieńskich czasów pod imieniem „pięknej panny Glynnes“. Podczas pewnego proszonego obiadu posadzono ją koło jednego ministra, który pierwszy zwrócił jej uwagę na Gladstona, siedzącego naprzeciwko, mówiąc: „Niech pani spojrzy na tego młodzieńca; kiedyś będzie z niego pierwszy minister“. Panna Glynnes spojrzała wtedy z zajęciem na piękną, wyrazistą twarz młodego deputowanego, ale poznanie osobiste nastąpiło dopiero w rok potem, w zimie, którą oboje spędzali we Włoszech.

Ślub miał miejsce w 1839 roku, a w pięćdziesiąt lat później, podczas uroczystości złotego wesela, Gladstone oświadczył, że słów mu braknie pierwszy raz chyba przez cały ciąg jego długiej karyery mówcy — aby wyrazić wdzięczność, jaką winien swej żonie. Jedna rzecz tylko mąciła szczęście pani Gladstone: będąc pierwszym ministrem, Gladstone nie mógł przy swoich zajęciach poświęcać jej dużo czasu. To też z radością przyjmowała zawsze zaproszenia na obiady, które przyjaciele wydawali dla Gladstone'a podczas londyńskiego sezonu, gdyż wtedy na jej prośbę, wyznaczano jej zawsze miejsce obok męża. Inaczej, — mawiała — nie miałabym czasu nawet z nim porozmawiać; często tygodnie upływają, a wcale się nie widujemy.

Podobne przykrości zdarzają się zresztą często żonom sławnych mężów. Jest to tylko jeden dowód więcej, że kompletnego szczęścia nie ma na ziemi i że każdą chwilę zadowolenia trzeba okupywać ofiarami.

Z izby sądowej.

Lwów, 4 lipca.

(Kartel cegielników lwowskich jest umową nieważną)

Przed senatem IV handlowym tut. sądu krajowego odbyła się wczoraj rozprawa ustna na skutek zarzutów wekslowych, wniesionych przez Józefa Schirmera przeciw nakazowi zapłaty sumy 3 072 złr.

Kwoty tej domagało się galic. akcyjne Towarzystwo handlowe imieniem Związku cegielni lwowskich od Schirmera, jako grzywny za sprzedaż cegły bez pisemnego zlecenia Towarzystwa. Rozprawę prowadził radzca Mandybur, wotantami byli: asesor handlowy p. Gubrynowicz i radzca Kawecki, protokołował dr. Till. Imieniem powodowego Towarzystwa występował adw. dr. Ploder a imieniem pozwanego Schirmera dr. Adolf Kohane, kierownik kancelaryi adw. dr. Włodzimierza Krosińskiego. Dr. Kohane między innymi podniósł zarzut nieważności kartelu na podstawie ustawy t. zw. koalicyjnej z dnia 7 kwietnia 1870 l. 43 Dz. pp.

Po trzygodzinnej rozprawie ogłosił przewodniczący wyrok po myśli ściśle prawniczych wywodów zastępcy pozwanego, zniósł bowiem nakaz zapłaty z powodu nieważności kartelu, t. j. owej umowy, z której właśnie zaskarżony weksel pochodził i zasądził powodowe Towarzystwo na zwrot kosztów procesowych Schirmerowi.

Zaznaczyć należy, że Najwyższy Trybunał przed kilku miesiącami wydał w analogicznym wypadku takiesame orzeczenie.

* * *

Kołomyja, 4 lipca.

(Katastrofa kolejowa pod Turką).

W pamiętnej katastrofie kolejowej pod Turką która zdarzyła się 27. czerwca z. r. wskutek załamania się mostu kolejowego nad wezbraną rzeką Kozaczówką, utraciło jak wiadomo 9 osób życie, a dwie odniosły ciężkie skaleczenie. Początkowo przypisywano przyczynę katastrofy tylko potędze żywiołów czyli tzw. *vis major* w krótce jednak pokazało się, że w grę wchodziło tu także karygodne niedbalstwo i nieostrożność funkcyonaryuszy kolejowych. Zarządzono dochodzenia, i najbardziej winnymi okazali się Kazimierz Weliński, urzędnik ruchu kolei państw., Majer Werner, bahnmistrz; Nikefor Babijów, robotnik kolejowy. Wszyscy oni zasiadają obecnie na ławie oskarżonych.

Prokuratorya państwa w Kołomyi oskarża mianowicie Welińskiego, że jako urzędnik ruchu służbę pełniący na stacyi kolejowej w Kołomyi mimo nadzwyczajnej burzy i ulewy, zaniedbał powstrzymać ekspedycyę pociągu osobowego idącego w kierunku do Lwowa, a względnie zasięgnąć w tej mierze decyzyi naczelnika stacyi lub też zarządzić poprzód t. zw. jazdę rekognoscyjną, lub rewizyę szlaku przez bahnmistrza, jakkolwiek łatwo mógł przewidzieć, że zaniedbanie to może sprowadzić niebezpieczeństwo dla życia ludzkiego.

Dalej oskarża Nikefora Babijowa, że jako zastępujący wówczas chorego budnika Stefana Balewicza, do którego należało nadzorowanie mostu, zaniedbał zwrócić uwagę na ten most i że nie ostrzegł maszynisty nadchodzącego pociągu przed grożącem niebezpieczeństwem; wreszcie Majera Wernera, że on jako bahnmistrz, przeznaczył w miejsce chorego Balewicza, zwykłego robotnika Babijowa, zupełnie z instrukcyą nieobeznanego, a nadto nie przedsięwziął w tym czasie rewizyi szlaku, do której był obowiązany jakkolwiek łatwo mógł przewidzieć, że zaniedbanie to może sprowadzić niebezpieczne skutki dla osób jadących najbliższym pociągiem.

Akt oskarżenia opisuje dokładnie burzę, która szalała 27 czerwca z. r. i konstatuje, że urzędnik kolejowy Weliński mógł łatwo przewidzieć, iż z powodu ulewy nastąpi podmulenie mostu nad Kozaczówką, zwłaszcza, że takie wypadki już się poprzednio zdarzały. Ludzie okoliczni opowiadają, że owej pamiętnej nocy woda z pól napływała w takiej ilości, iż wdarłszy się do pomieszkań, dosięgała nawet sufitów, wskutek czego musiano się chronić na dachy. Ponad mostem Kozaczówki przepływała woda na wysokość 1 metra! Otóż Weliński nie tylko mógł z własnej inicyatywy zarządzić środki ostrożności, ale nawet powinien był to uczynić według pozytywnych przepisów instrukcyi służbowej. Usprawiedliwia się wprawdzie Weliński, że na poprzednich stacyach nikt pociągu także nie wstrzymywał i że pociąg towarowy na godzinę przedtem ekspedyowany, przeszedł bez szwanku. Ale tłómaczenie takie, pominąwszy jego naiwność, nie uchyla wcale zarzutu, że Weliński mógł przynajmniej odnieść się do naczelnika stacyi, zwłaszcza, że jak się pokazało potem, jeden z maszynistów zwracał jego uwagę na grożące niebezpieczeństwo.

W dalszym ciągu opisuje akt oskarżenia sposób dozorowania toru i jaki udział w tem mają bahnmistrze i dróżnicy. Otóż Babijów obowiązany był w czasie 21 godzinnej służby obejść poruczoną przestrzeń na torze czterokrotnie i na znak, że to uczynił, zawiesić na słupku granicznym tabliczkę z odpowiednim numerem, by go bahnmistrz mógł skontrolować. Tymczasem sprawdzonem zostało, że Babijów wcale tych tabliczek nie zawieszał, a więc widocznie mostu nad Kozaczówką tuż przed nadejściem pociągu nie zwiedzał, inaczej byłby spostrzegł, że most jest już uszkodzony. Bahnmistrz Werner zawinił zaś tem, że nie wyszedł przekonać się, czy tabliczki zą zawieszone, dalej, że Babijowa z posterunku wczas nie ściągnął. Werner tłómaczy się, że miał zamiar skontrolować tego wieczoru przestrzeń, usnął jednak tak twardo, że dobudzić się go nie było można, z czego się też raduje, inaczej bowiem łatwo staćby się mogło, że spełniając swój obowiązek, także byłby życie postradał. Największą jednak winą Wernera jest, że wbrew instrukcyi poruczył zastępstwo dróżnika Babijowowi, człowiekowi nie umiejącemu czytać i pisać i nie znającemu instrukcyi dla dróżników.

Rozprawa, której przewodniczy radzca p. Morawski rozpisaną jest na 6 dni. Oskarżycielem jest zastępca prokuratora p. Kozaczek, obrońcą dr. Haczewski. Świadków wezwano do rozprawy 51.

Pierwszy dzień rozprawy zajęło odczytanie aktu oskarżenia, oraz przesłuchiwanie oskarżonych, którzy nie poczuwają się do żadnej winy. Osk. Weliński twierdzi, że sytuacya nie była tak groźną i że był w prawie wypuścić pociąg na linię. Osk. Babijow usprawiedliwia się, że przestrzeń, którą miał dozorować, była bardzo rozległą tak, że podczas burzy nie mógł jej zwiedzić tak szybko, jak było potrzeba. Wobec tego tłómaczenia się uchwa-

---

31)

A. KALLAS.

POCZTA

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy).

Od owej pory upłynęło lat kilkanaście; miał więc czas oswoić się z tym wypadkiem i osądzić go przedmiotowo. Nie przychodziło mu to łatwo; długi szereg lat po wielu przejściach wreszcie przemienił go niemal w innego człowieka.

Idealista, marzyciel, stał się zrazu mólem książkowym i z lubością przetrawiał dzieła o treści negującej. Później był chorym z urojenia i stronił od ludzi; wreszcie poczuł pragnienie wydostania się z tej dusznej atmosfery, tęsknił do słońca, do swobody, do szczęścia. W trakcie tych przemian pracował z musu, walcząc o żer jak każe zwierzę i człowiek z szarego tłumu.

Wychowany przez matkę, bo ojca za młodu utracił, miał w charakterze pewną miękkość kobiecą; przytem nurtowały w nim wielkie pragnienia, których nie był w stanie zaspokoić. Kłopoty właściciela obdłużonej wioski były dla niego prawdziwą kulą u nogi, rwał się w świat szeroki, a musiał siedzieć na wsi. Wtedy to pisywał poetyczne traktaty o ustroju społeczeństwa w przyszłości i zaprowadzał w swojej wiosce różne niepraktyczne zmiany. Tymczasem ekonom prowadził gospodarstwo, a matka modliła się o cud jaki, któryby zdjął z jedynaka czar wielkich pragnień.

Potem Ludwik zakochał się i ożenił, spędzając swe życie od tej pory częścią w buduarze żony, częścią po cudzych domach, dokąd woził żonę, spragnioną zabaw i nowych wrażeń. Był „idealnym“ mężem; dziś z szyderskim uśmiechem myślał o tym przymiotniku. Dwuletnie jego pożycie z żoną skończyło się skandalem rozwodu i znowu był wolnym. Ale wolność ta kosztowała go dosyć drogo; musiał sprzedać rodzinny majątek i z kilkoma tysiącami guldenów osiadł z matką we Lwowie. Za radą jakiejś ciotki, przyjął posadę na poczcie, a po niejakimś czasie, szukając choćby cienia niezależności, wyprosił sobie miejsce poczmistrza w Łęgu.

Ludzie mu wtedy szczęścia zazdrościli; nie wiedzieli jak dalekim on był wówczas od szczęścia! Zagrzebał się znowu w książkach i chciał zapomnieć o przeszłości, o całym tym świecie, w którym się dotychczas obracał.

W zupełnej samotności przeżył tak lat dziesięć. Za mało posiadając talentu, aby mógł należycie zużyć nabyte wiadomości, musiał się wreszcie zniechęcić do studyów, które rozpoczął w nadziei znalezienia ideału ustroju społecznego. Przekonawszy się, że chorobliwy stan społeczeństwa mimo tylu lekarzy, lekarstw i niezużytkowanych recept, trwa dalej, ze wstrętem porzucił studya społeczne. Doznał wtedy tego samego uczucia, jak w chwili, kiedy po wprowadzeniu rozmaitych zmian w swojem gospodarstwie wiejskiem spostrzegł, że w kasie są pustki i dowiedział się, że ludzie, wśród których weksle jego krążyły, nazywali go Don Kiszotem.

Wówczas znalazł był lekarstwo w miłości, książkach i w życiu towarzyskiem; po tem drugiem zaś rozczarowaniu wstydził się rozpoczynać życia na nowo, choć czuł, że umiałby teraz żyć lepiej, bo praktycznie.

Nie jego wyłącznie było winą że tak późno przejrzał, w szkołach i w domu wpajano w niego przekonanie, że jest przeznaczonym do niezwykłych czynów. Całą młodość przeżył więc w złudnych marzeniach; lepił skrzydła i próbował lotu... Ikara.

Teraz dopiero, gdy po tylu przejściach wszystkie owe ułudy prysły, stał on się zwykłym śmiertelnikiem o tyle tylko ponad tłum wyrastającym, że znał poniekąd i cenił owe szczyty, na które pną się zapaleńcy.

— Jak ja zniedołężniałem! — myślał — Widocznie starzeję się; wszakci ja tęsknię za rozkoszami rodzinnego życia jak niemiecki filister i patrzę na piękność Róży okiem fizyologa. Gdyby to ona wiedziała, jakie we mnie budzi myśli!... Kto wie, czy ten młody Gelber nie rozkochał jej w sobie?... Jest młodym i ma temperament!... Jak to dobrze, że na prowincyi istnieje prywatny kolportaż plotek; inaczej nie wiedziałbym nic o młodym Gelberze i, nie znałbym panny Malewskiej ani połowę tak dobrze. Lecz... czy ją znam w istocie?... Znam tylko portret, sporządzony przez opinię, a zatem niedokładny... Po co się spieszyć? Stanowczo nie pojadę jutro! Znajdę stosowną wymówkę; matka nalegać nie będzie i pojedzie sama.

Został w domu, ale gdy matka wróciła nazajutrz z Jarowińca, miał do niej żal za to, że nie wymogła na nim dotrzymania obietnicy.

Należało się przecież, ażebym do niej pojechał, skoro ona tu była, postąpiłem sobie jak gbur! — myślał teraz.

W kilka dni później pojechał sam do Jarowińca i wrócił nad wieczorem rozpromieniony. Długo potem jeszcze rozmawiał z matką o tej wizycie.

Nie ukrywał już uczucia, które go nagle opanowało, czasem tylko wyrażał się o niem w sposób żartobliwy, usprawiedliwiając się przed matką:

— Mama sama tego chciała! Czynię zadość twojemu życzeniu i rozpoczynam konkury. Pierwszy mój wybór okazał się fatalnym, obecnie sama wybrałaś, a ja poszedłem za twoją wskazówką. Idę na oślep, a ty prowadź mamo. Dobrze?

— Nie zwiedziesz mnie tą pozorną uległością! — odparła matka z uśmiechem. — Widzę, że ją kochasz, a wpływ mój nie zaważyłby tak bardzo, gdybyś sam nie był poznał, że jesteście dla siebie stworzeni...

— Powinowactwo z wyboru! — przerwał matce. Doskonale, mateczko! Wiem, że nie czytałaś Goethego, ale odgadujesz sercem, czego szukam w małżeństwie. Otóż, powiem ci otwarcie, że to powinowactwo uderzyło mnie na pierwszy rzut oka i zbudziło pragnienie posiadania jej.

— A zatem już wybrałeś? — spytała matka.

— Wybrałem — odparł wesoło.

Uścisnęła go i oboje poczęli gwarzyć o przyszłości, która im miała powetować długie lata, zdala od ludzi w tym zakątku spędzone. Spokojnie, cicho, zawitało szczęście pod ich dach błogosławiony, budząc ich do nowego życia..

Wiosna minęła. W połowie czerwca otrzymała Róża list od młodszego brata, w którym jej donosił, że: „zjeżdża do niej na wakacye ze Spencerem i Lombrosą“.

...„Nie lękaj się tych dwóch panów, — pisał — nie zrobią Ci subjekcyi; dosyć im miejsca w moim kuferku. Spać będę w kancelaryi na sienniku, a co do wiktu, to cię pewno nie obeżrę. Poziomki i grzyby z pewnością u Was tanie. Zostanę wegetaryaninem. Aha.. byłbym zapomniał Ci donieść o nowinach z Ameryki, których Ty wyczekujesz z takiem upragnieniem. Czytywałem pilnie gazety, wychodzące w Ameryce, skomunikowałem się z redaktorem *Przeglądu obu światów* i wreszcie udało mi się, po długich poszukiwaniach, odnaleść Twego faceta. Mieszka obecnie w Buffalo i wstąpił do redakcyi tamecznego tygodnika, oprócz tego (prawdziwie „po amerykańsku“) zawiaduje jakąś drogueryą. Ręczę, że dorobi się majątku i wróci do kraju milionerem, lub też... o wyżebranym od ziomków chlebie. Radzę Ci... nie czekać na niego...“

— „Nie, nie czekam na niego“ — pomyślała Róża, odczytując tę część listu brata.

Wiadomości, o które prosiła przed chorobą, przyjęła dzisiaj spokojnie bez tej gorączki, z jaką ich wyglądała temu dwa miesiące. Zmieniła się bardzo od tego czasu; Żorż Gelber usunął się w pamięci jej w jakąś dal nieskończoną; myślała o nim przelotnie, bez wzruszenia i pragnień, a tylko ze współczuciem życząc biednemu rozbitkowi, aby dopłynął do bezpiecznego brzegu.

I dlatego to zapewne prawdziwej doznała ulgi, czytając, że nie zaginął w odmęcie nowego świata. Uwolniło ją to od przykrej myśli, że ktoś, którego choć tylko przelotną obdarzyła sympatyą, walczy gdzieś z przeciwnościami, lub może marnie zginął.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że tylko egoizm serca, które już inny uczyniło wybór, każe jej zapomnieć o owem przelotnem uczuciu samotnicy, spragnionej miłości.

— Żorż żyje, pracuje, dorabia się majątku, a zatem nie mam już potrzeby troszczyć się o niego — pomyślała, i odczytywała spokojnie dalszy ciąg listu, ciesząc się przytem, że wnet ujrzy brata i ugości u siebie. Była nawet dumną z tej nowej roli gościnnej gosposi, w jakiej ukaże się bratu. Zajęła się też gorączkowo przygotowaniami, i zakupywała prowianty, obiecując sobie oszczędzać znowu po wakacyach, byle tylko na niczem nie zbywało w domu podczas pobytu tego lubego gościa.

Poprzestawiała meble w pokoju, przystroiła wszystkie okna w świeże kwiaty; uczyła służącą gotować ulubione potrawy brata, słowem utonęła całą duszą w tem nowem zajęciu. Zazwyczaj małomowna i, nie lubiąca się zwierzać, opowiadała teraz wszystkim, jakich to odwiedzin się spodziewa. Chciała zająć wszystkich swoim bratem i pragnęła, żeby mu wszyscy byli radzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

lić ma trybunał zwiedzenie pieszo owej przestrzeni, aby się przekonać, ile to wymaga czasu. Obrona zacytowała także świadków codowdowych.

Kronika.

Lwów 5 lipca.

Wiadomości urzędowe. Sąd krajowy wyższy w Krakowie przeniósł oficyałów kancelaryjnych X. klasy rangi: Wincentego Łasia z Jasła do Podgórza, Romana Kubasa z Radłowa do Tarnowa i Antoniego Mnicha ze Skawiny do Krakowa; zamianował oficyałami kancelaryjnymi w X klasie rangi kancelistów sądowych: Andrzeja Kostnika w Chrzanowie dla sądu wyższego w Krakowie, Jana Pilczyńskiego w Krakowie, Andrzeja Kordasa w Wadowicach, Franciszka Medweckiego w Nowym Targu, Rudolfa Smidowicza w Krakowie, Aleksandra Dworskiego w Brzesku, wszystkich dla Krakowa; Józefa Kroupę w Dobczycach i Filipa Serafinika w Limanowej dla Tarnowa, Jana Łukawskiego i Władysława Krzyżanowskiego dla Rzeszowa, Jana Iwaniszowa w Nowym Sączu i Emila Karola 2 ga imion Warchałowskiego w Przeworsku dla Nowego Sącza, Jana Stelarza w Bieczu i Ignacego Sebastyańskiego w Rozwadowie dla Jasła, Edwarda Bochnischa i Franciszka Franaszka w Wadowicach dla Wadowic, Ludomira Łodzińskiego w Rozwadowie dla Rozwadowa, Józefa Solcaska w Krośnie dla Krosna, Tomasza Czecha w Mszanie dolnej dla Mszany dolnej, Bolesława Gromadzkiego w Ulanowie dla Bochni, Ignacego Kubala w Strzyżowie dla Biecza, Mikołaja Srečkowa w Liszkach dla Liszek, Ignacego Juliana 2 ga imion Watzkę w Mszanie dolnej dla Wiśnicza, Czesława Camnerę w Dębicy dla Skawiny i Jana Drońskiego w Głogowie dla Radłowa.

Oficyałami pocztowymi mianowani: Kazimierz Prevot we Lwowie, Henryk Goldstein we Lwowie, Wilhelm Jankiewicz we Lwowie, Łazarz Załkowski w Radowcach.

Sejmik rolniczy. Otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie: Zapraszam wyborców moich na Sejm krajowy i do Rady państwa, aby raczyli przybyć w piątek 8 bm. o godz. 3 po południu do sali Rady powiatowej w Stanisławowie celem wysłuchania sprawozdania poselskiego. *Wojciech Dzieduszycki.*

„Ślad wpływów rosyjskich" wykryto podobno, badając przyczyny ostatnich zaburzeń w nowosądeckiem i limanowskiem. Tak donoszą, jako pogłoskę krakowską, jedno z tutejszych pism. Takie pogłoski są zapewne śladem wpływów wysokiej w lipcu temperatury.

W powiatach niedawno zaburzonych panuje wzorowy spokój.

Kwestya „języków". Wskutek zażalenia wniesionego w sejmie szlązkim przez posłów polskich i czeskich, p. minister sprawiedliwości dr. Ruber polecił zwrócić uwagę sądów szlązkich, iż protokoły zeznań czeskich i polskich świadków i oskarżonych mają być sporządzane w myśl procedury karnej w tym języku, w którym strony zeznania swe składają.

Zwinięcie urzędu pocztowego. Urząd pocztowy na dworcu kolejowym w Markowicach (powiatu tłumackiego) zostanie z dniem 23 czerwca 1898 czasowo zwinięty, a okręg doręczeń tego urzędu przydzielono urzędowi pocztowemu w Tyśmienicy.

Konkursa rozpisują: Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie na posady: poczmistrza w Zwierzyńcu w pow. krakowskim za kaucyą 400 złr., z poborami 800 złr., oraz ekspedyentów za kaucyą 200 zł.: w Eurowicach w pow. przemyślańskim z poborami 340 złr., w Izdebkach w pow. brzozowskim z poborami 500 zł. i w Czarnej koło Ustrzyk dolnych z poborami 190 złr. Termin do 15 bm. — Rada szkolna krajowa we Lwowie na posadę nauczyciela historyi naturalnej jako przedmiotu głównego, zaś matematyki i fizyki jako przedmiotów pobocznych w gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie. Termin do 20 bm.

Komitet budowy pomnika Mickiewicza we Lwowie zawiadamia, że plany sytuacyjne i warunki konkursu złożone są w sekretaryacie Tow. Zachęty Sztuk pięknych (plac św. Ducha), gdzie też po nie interesowani osobiście lub pisemnie zgłaszać się mogą. Wszelkie pisma do komitetu adresować należy: Sekretarz komitetu budowy pomnika Mickiewicza Michał Rolle, Lwów, ul. Czarnieckiego 8.

P. Schirmer zwyciężył. Przełożony korporacyi piekarskiej we Lwowie, radny miasta i przewodniczący miejskiej komisyi targowej, postawił na swojem, gdyż w komisyi targowej zapadła już uchwała, by stragany z chlebem podgórskim przenieść z placu pod ratuszem na miejsce przy ul. Czajkowskiego, w miejsce, gdzie nikt chleba nie poszukuje, pomiędzy przekupki sprzedające warzywa. Dlaczego się to stało? Dlatego, że kilogram chleba podgórskiego, bardzo dobrego i zdrowego kosztuje 18 ct., a kilogram chleba lwowskiego 18 ct. To bardzo nie dobrze!

Kartel piwowarów lwowskich, trwający niespełna rok, wyszedł na złe samym kartelowcom. Oto bowiem stanęły już od paru miesięcy browary Kiselki, Penziasa i Schmelkesa, a od 1 lipca browar na Pohulance. Jest to wynikiem zmniejszonej konsumcyi piwa lwowskiego, co w swoim czasie na podstawie urzędowych sprawozdań wykazaliśmy.

Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego, który miał się odbyć w Krakowie 18 i 19 b. m. odwołano.

Bursa polska im. Józefa Jakóbowicza w Brzeżanach przyjmie w roku szkolnym 1898/9 40 uczniów na utrzymanie. Z tej liczby 6 miejsc jest bezpłatnych a reszta za opłatą miesięczną od 10 do 14 złr. Termin wnoszenia podań o przyjęcie do 15 sierpnia.

Emeryci pocztowi urządzają 7 bm. w Kasynie miejskiem zebranie celem naradzenia się nad petycyą do rządu o poprawienie ich bytu materyalnego przy sposobności zamierzonej przez rząd regulacyi płac urzędników.

Gdzie się dwóch powaśni, tam trzeci korzysta. Bismarckowskie *Neueste Nachr.* donoszą z Friedrichsruh, że w ciągłem zmartwieniu, jakie sprawiły im wybory do parlamentu niemieckiego, z powodu zwycięstwa centrum katolickiego i socyalistów, jedyną dla niego pociechą jest porażka Polaków. Nikt z Polaków nie ma powodu wątpić o szczerości powyższych słów. Niechże o nich pamiętają ci, którzy radzą Wielkopolsce i niechaj zaniechawszy waśni domowej przestaną nieść „pociechę" zwycięzkim ich wrogom.

Bomba. W areszcie urzędu gminnego w Knihyninie wsi pod Stanisławowem, znaleziono 16 funtową bombę. Śledztwo za sprawcą zamachu jest w toku.

„Sagistof" w Galicyi! *Kuryer Warszawski* opowiada: Na stacyi kolei wiedeńskiej Granica istnieje, jak wiadomo, biuro zawiadowcy kolei austryackiej, tudzież osobna kasa austryacka do przyjmowania bagażów. Onegdaj grono Warszawian przybyło pociągiem popołudniowym do Granicy, wykupiło bilety do Żegiestowa i zapragnęło przesłać bagaże do tej miejscowości leczniczej, ale urzędnik kolejowy austryacki nietylko, iż nie chciał porozumiewać się z interesantami językiem miejscowym, lecz wręcz oświadczył, iż bagażów nie przyjmie, gdyż stacyi Żegiestów w Galicyi nie ma. Podróżni zwrócili się więc z zażaleniem do zawiadowcy austryackiego, p. Ehrensteina, który kasyerowi bagaże przyjąć polecił. Uparty Niemiec zaczął się wtedy rzucać i utrzymywać, iż stacya kwestyonowana nazywa się urzędowo „*Sagistof*" i że rozumieć nazw polskich nie jest obowiązany; dopiero zagrożony odpowiedzialnością, acz niechętnie, ustąpił.

Śmierć na estradzie koncertowej. W San Francisco, w Ameryce, zmarł nagle podczas koncertu znany skrzypek węgierski Edward Remenyi. Po odegraniu kilku utworów klasycznych i nad program dodanej znanej pieśni amerykańskiej „Old Glory" Remenyi, zniewolony burzą oklasków, rozpoczął „Pizzicato" Delibesa; zaledwie jednak kilka taktów odegrał, pochylił się i byłby upadł, gdyby go jeden z członków orkiestry nie był pochwycił. Wyniesiono artystę z sali i wezwano lekarza. Niestety było już zapóźno. Lekarz mógł tylko skonstatować śmierć.

Jak się robi miliony? Na to niesłychanie interesujące pytanie odpowiada jedna z amerykańskich gazet, zamieszczając szereg listów różnych milionerów. I tak słynny krezus amerykański William Waldorf Astor radzi: „Młody człowiek, który chce dorobić się majątku, musi przedewszystkiem dbać o to, aby obrać tylko taką karyerę, do której czuje się najzdatniejszym i która jego naturze najwięcej odpowiada, bo rzadko tylko cały zasób sił naszych kładziemy w zawód, do którego sztucznie naginać się musimy. Gdy się obrało nareszcie karyerę właściwą, należy wyszukać miejsce dla niej najodpowiedniejsze. Dalej wypada dbać usilnie, aby zdrowie było w porządku, bo tylko z jasną głową dzielnie pracować można. Unikajcie zatem kandydaci na milionerów alkoholu i tytoniu, bo one mącą myśl ludzką. Nie róbcie też nigdy długów, bo nic tak człowieka nie spycha w błoto jak długi. Część zarobionych pieniędzy składajcie w kasie oszczędności i trzymajcie się zasady: „Nigdy tyle nie wydać ile się zarobiło".

Henry Glows wyraża mniej więcej podobne opinie, jak jego kolega z wyżyn milionowych i tylko to jeszcze na zakończenie dodaje: „Wykształcenie, w przeciętnem tego słowa znaczeniu, może być często raczej przeszkodą, niż pomocą do zdobycia bogactw, bo wraz z wzrostem zasobów ducha naszego, potęgują się także nasze pretensye życiowe. Ze stanowiska interesu zarobkowego, a może i ze względów etycznych, wyższość przyznać należy kształceniu charakteru. A więc mniej do książek zaglądać, a więcej z życia się uczyć, a z łatwością inny cel nasz osięgniemy".

Bardzo krótko i zwięźle wyraża się Klaus Spreckels: „Zanieś pan pieniądze zarobione do banku i pracuj dalej".

Andrew Carnagie tak mówi: „Z każdego dolara, który zarobisz, odłóż piątą część na procent składany, choćby suma była niewiem jak małą i choćby oszczędzanie sprawiało ci największe trudności. Pieniądze złożone na procent od procentu podobne są do cielęcia, o którem mi niegdyś jakiś Niemiec opowiadał: „Kupno tego cielęcia — mówił do mnie — było najlepszym handlem, jaki kiedykolwiek zrobiłem; cielę bowiem rosło ciągle i wtedy, kiedy czuwałem, i wtedy, kiedy spałem aż wreszcie stało się krową, której mleko żywi mnie teraz doskonale". Podobnie dzieje się z pieniędzmi, które oddajemy do banku na procent składany. Kto mojej rady usłucha i przytem jest dzielnym człowiekiem, ten musi zostać bogatym, bez względu na to, czy chce, czy nie chce".

Inną receptę przepisuje Pilsburg: „Nie wystarcza — mówi on — dla zostania bogatym spełniać tylko swój obowiązek. Trzeba uczynić więcej. Ja sam, gdy jeszcze byłem biedakiem, nietylko odrabiałem starannie godziny biurowe, lecz pracowałem po nocach, aby się przysłużyć mym szefom. Interes szefów, jest zawsze interesem własnym, bo albo posuwamy się szybko naprzód, albo też, jeżeli szef zasług naszych nie uznaje, inny zwróci na nas uwagę. Opinia dobrego pracownika roznosi się szybko, i człowiek łatwo znajdzie nowe stanowiska, które więcej zysku przysparzają i podnoszą powagę naszą. Im wyżej się wznosimy, tem łatwiej zdobywamy coraz to lepsze stanowiska. Błędem jest spuszczać się na zdolności swoje. Wytrwałość i pilność są więcej warte, niż wszystkie inne talenty i kto ich nie ma, ten nigdy do niczego nie doprowadzi, chyba, że mu szczęśliwy wypadek ułatwi karyerę".

Wreszcie milioner Flower taką udziela radę: „Bądź trzeźwym, skromnym, oszczędnym i pilnym, uczciwym wobec siebie i wobec innych, a wtedy musi ci się udać musisz zrobić majątek, jeżeli oprócz tego masz szczęście".

W zakładzie zdrojowym w Szczawnicy gościło dotychczas w bieżącym sezonie 613 osób.

Nienawiść kwiatów. Holenderscy ogrodnicy twierdzą, rzekomo na podstawie istotnych doświadczeń, że między niektóremi kwiatami istnieje formalna nienawiść i nieprzyjaźń, np. między rezedą i różą. Gdy się te dwa rodzaje kwiatów wraz z innemi zwiąże w jeden bukiet i wsadzi w wodę, natenczas można po pewnym czasie zauważyć, że róże i rezedy przylgnęły do siebie szczelnie i powiędły, chociaż reszta kwiatów wygląda jeszcze całkiem świeżo. Gwoździki i heliotropy przeciwnie znów, tkwiąc obok siebie w wodzie, długo zatrzymują swą świeżość. Piękne konwalijki są za to wyrazem absolutnej nienawiści; każdy kwiat obok nich więdnie szybko i obumiera.

Oryginalne stowarzyszenie. Grono obywateli Nowego Jorku zawiązało stowarzyszenie, mające na celu starać się o zmniejszenie hałasu ulicznego w miastach. Stowarzyszenie rozumuje w ten sposób, że skoro władze miejskie, starają się usunąć żywioły szkodliwe dla zmysłu powonienia, powinny też dbać o zmysł słuchu choć cokolwiek. W pierwszym rzędzie postanowiło towarzystwo zabronić gwizdania i głośnych okrzyków na ulicach i podwórzach; usunąć dzwony z wież kościelnych; koleje konne zmienić w podziemne, tak, ażeby z tuneli żaden hałas na powierzchnię ulic nie dolatywał; wszystkie ulice asfaltować; koła u wozów opatrywać gumami i filcami; wreszcie wszystkie koty, których nocne miauczenie daje się mieszkańcom we znaki, wytępić.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 17, w poł. + 20 R. Bar. 764. Nieruchomy. Pogoda.

Z teki aforyzmów.

Podziwiam, jeśli młoda i ładna kobieta
Lubi często się bawić, *ot dla przyjemności*,
Gdy ją wabią wycieczki, strojna toaleta,
Gdy w niej prócz obowiązków chęć zabawy gości.
Lecz się dziwię, gdy jedną zabawę nad drugą
Przenosi, choć to czyni w najwdzięczniejszy sposób
I nad wyborem którejś namyśla się długo,
A wybór uskutecznia li tylko dla *osób*. *L. G. Dz.*

Literatura i sztuka.

* **Wiadomości artystyczne** Zeszyt 18 zawiera: „Wiedeńska opera nadworna" (sprawozdanie z ostatniego sezonu zimowego, pod dyrekcyą G. Mahlera) przez dra Grudera; „Z pedagogii muzycznej" (myśli C. H. Richtera); „Popisy szkół muzycznych"; korespondencye i kronikę artystyczną.

* **Encyklopedya Macierzy polskiej**, tom II, opuści prasę w pierwszych dniach sierpnia. Zawierać ona będzie około 60 arkuszy, tj. o 10 arkuszy więcej niż tom I.

Kronika sztuk plastycznych

Znany zaszczytnie artysta malarz, p. Antoni Piotrowski, wykonał cały szereg pomysłów plafonowych, przeznaczonych dla ozdoby sufitu i objętych przyściennemi prostokątami lunet salonu pana Jakóba Hertza, przedstawiciela jednej z największych firm fabrycznych w Łodzi. Pan Piotrowski, przerzuciwszy się nagle z pola malowanych przez siebie bitew i sielskich scen krajobrazowych w sferę klasycznego rysunku i układu, stanął odrazu na wysokości swojego zadania i stworzył przedziwnie piękny plafon z dwunastoma obrazami. Szczególnie dobrze pomyślanym i narysowanym jest plafon sufitowy przedstawiający „Poezyę" w postaci kobiety młodej i urodziwej, ze złotą lutnią w ręku, unoszącej się na wspaniale i typowo narysowanym pegazie. Z boku, po prawej stronie widza, zdąża za nią w błękity „Młodość", uosobiona figurą dziewicy o posągowej piękności kształtach, które od pierwszego wejrzenia rzucają się w oczy patrzącego i przykuwają go do siebie. Po tej samej stronie poprzedza poezyę „Zapał" w udatnej postaci młodzieńca, a z prawej strony na obłoku siedzi „Rozwaga" — stanowiąca spokojem i powagą swojej postawy uderzający i zarazem estetyczny kontrast z opisaną powyżej grupą. Wszystkie te postacie kobiece spowite są do połowy w lekkie, prześlicznie malowane, o delikatnych barwach draperye. Boczne obrazy, przeznaczone na pola, dzielące pasma fryzu w liczbie dwunastu, odznaczają się pełnym życia i swobody układem figur o szlachetnych liniach w rysunku, rzuconych na malownicze, tchnące prawdą tła krajobrazowe. Nad drzwiami wchodowemi unosić się będzie urocza postać „Anioła pokoju", mając naprzeciwko uosobienie „Przyjaźni", wyrażone przez dwie figury kobiece, związane uściskiem rąk u stóp greckiego ołtarza, nieszczącego na sobie płonącą ogniem świętym urnę. Do uderzających malowniczością krajobrazu i wdziękiem układu należą: „Nereida" przysłuchująca się grającemu na multankach Faunowi, na piaszczystem brzegu morza; „Pasterka i strzelec"; „Nimfy flirtujące Fauna", które urodą swych twarzy i wdziękiem swej postawy w szczególny sposób pociągają oko widza. Nie ustępują w niczem poprzednim: „Centaur budzący Nimfę", „Przestrach", „Upojenie", „Cierpliwość" i „Rybaczka". Zamyka ten poczet pełna ciszy i nad wszelki wyraz wdzięczna „Idylla".

Chociaż obadwa wielkie salony paryskie pomieszczone były w tym roku w jednym gmachu nie zmniejszyła się w nich wcale ilość wystawionych dzieł sztuki. Ośm tysięcy obrazów, rysunków i rzeźb, to jest zbiór, który cierpliwy widz obejrzeć był winien w ciągu swej przechadzki po wielkiej halli wystawowej. W takim olbrzymim natłoku tylko dzieła imponujące rozmiarami lub treścią, zwrócić mogą na siebie uwagę znużonego widza. Nic przeto dziwnego, że kilkadziesiąt drobnych prac, nadesłanych do salonów przez artystów polskich, zginęło całkowicie w zalewie francuskim. Gerson nadesłał: „Dwie siostry w żałobie" i delikatną, miękką w tonie warszawiankę, przebraną za „Damę wschodnią". Prace te są o wiele słabsze od wszystkich innych prac cenionego i zasłużonego profesora. Zdolny uczeń p. Gersona, Słupski, wystawił w tym roku portret p. Ostena. Gdy się patrzy na jakąbądź pracę tego artysty, podziwiać się zawsze musi niezmierną pracowitość i sumienność w szczegółach. Te same cechy widać i w ostatnim portrecie, pracy najlepszej może ze wszystkich, jakie p. Słupski dotychczas wymalował.

P. Jan Chełmiński dał swój „Pochód żołnierzy do kwatery ogólnej". Wielka wprawa techniczna i niewolnicze naśladownictwo Francuzów — oto dwa uderzające szczegóły tego obrazu. Nie wyróżnia się również żadnemi zaletami obrazek p. Rozena „Forpoczta wielkiej armii, badająca brzegi Niemna". Portrety lub studya portretowe wystawili jeszcze pp. Olpiński, Przepiórski, Świejkowski, Wiśniewska i Loevy. Ceniony ten rysownik i ilustrator rzadko zabiera się do pendzla, a szkoda, bo portrety, które w ostatnich latach wystawiał, zaleca wyborna technika.

W dziale rzeźby nigdy polscy artyści nie odznaczali się wybitnie i w tym roku kilku z nich zaledwie odszukać można. P. Marya Gersonówna wystąpiła ze swą udatną grupą „Ucieczka do Egiptu"; p. Kossowski — nadesłał poprawny portret własny; p. Trojanowski — podobnie, jak w latach zeszłych, wystawił medaliony. Jest ich w jednej witrynie dziewiętnaście. Do najlepszych zaliczyć można sylwetki rodziny autora, a zwłaszcza jego żony, mające w sobie wiele subtelności. Za to portrety: Dantego, Szekspira, Matejki, Feliksa Faure'a, Berlioza — niezbyt dodatnie sprawiają wrażenie: suche są, upozowane sztucznie i nie odczute psychologicznie.

Część ekonomiczna.

Ceny zboża. Wiedeń 4 lipca. Pszenica na jesień 8·86—8·93; żyto na jesień 6·89—6·94—; owies na jesień 5·90—5·92; kukurudza na lipiec-sierpień 5·33—5·47; rzepak na sierpień-wrzesień 12·55—12·68. Spirytus 19.40—19.60.

Telegramy Przeglądu.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Nowy-York 5 lipca. Admirał Sampson nadesłał wczoraj do Waszyngtonu depeszę, w której donosi, że flota, zostająca pod jego dowództwem, składa narodowi w dniu święta niepodległości jako podarunek zniszczenie całej floty Cervery, z której ani jeden statek nie ocalał. Wedle raportu Sampsona, Amerykanie mieli tylko jednego zabitego i dwóch rannych. Hiszpanie zaś mają kilkaset zabitych i 1.500 rannych między nimi admirała Cerverę. W końcu donosi Sampson, że pod Sant Jago panuje zawieszenie broni, które kończy się dziś w południe. Zgodzono się na nie dlatego, ażeby dać ludności cywilnej, nie biorącej udziału w walce, czas do opuszczenia miasta.

Depesze, które nadeszły do tutejszych dzienników z Playa del Este, donoszą, że Hiszpanie sami ustawili swe okręty wzdłuż wybrzeży i podpalili je. Z obozu pod Sant Jago donoszą, że naczelny wódz wojsk lądowych jenerał Shafter zachorował i nie może osobiście kierować dalszemi operacyami. Podobno jenerał Miles uda się jeszcze w tym tygodniu ze znacznymi posiłkami na Kubę i obejmie główne dowództwo. Zaprzeczają stanowczo doniesieniu, jakoby garnizon hiszpański w Sant Jago wzmocniony został sześciotysięcznym oddziałem jenerała Pando. Jenerał ten ze swym oddziałem znajduje się w odległości sześciu mil od Sant Jago.

Londyn 5 lipca. Depesze, otrzymane przez dzienniki tutejsze z amerykańskiego źródła, potwierdzają wiadomość o zniszczeniu floty admirała Cervery. Wedle tych doniesień atoli sami Hiszpanie mieli ją zniszczyć. Cervera chciał bowiem w niedzielę o świcie wymknąć się z zatoki Sant Jago, atoli zastąpiła mu drogę flota amerykańska. Wywiązała się straszliwa walka. Cervera widząc przewagę nieprzyjaciela kazał wysadzić okręty w powietrze. Jeden tylko okręt admiralski „Viscaya" miał ocaleć i podobno wzięty został przez Amerykanów. Co się stało z Cerverą niewiadomo. Wedle jednej wersyi zginął, wedle drugiej dostał się do niewoli.

Madryt 5 lipca. Depesze, jakie tu nadeszły z Hawanny zarówno z urzędowego źródła jak i ze źródeł prywatnych, nie zawierają żadnej wzmianki o zniszczeniu floty Cervery. Przeciwnie donoszą one, że Cerverze udało się wymknąć z zatoki Sant Jago. Urzędowa depesza donosi, że okręty Cervery popłynęły w kierunku kanału Winiwardzkiego. „Ajencya Fabra" zaś donosi, że flota Cervery po gwałtownej kanonadzie z okrętami nieprzyjacielskimi popłynęła ku północnym wybrzeżom Kuby prawdopodobnie do Hawanny. O bitwie lądowej pod Sant Jago donosi gubernator Blanco, że żołnierze hiszpańscy złożyli tam dowód wielkiego bohaterstwa. Przewaga liczebna Amerykanów była bowiem taka, że na jednego Hiszpana walczyło dziesięciu Amerykanów.

Waszyngton 5 lipca. Depesza, nadana onegdaj po południu, donosi, że admirał Cervera ranny jest w ramię i znajduje się w niewoli na pokładzie okrętu amerykańskiego „Gloucester".

Dziennik *Evening World* donosi, że admirał Cervera oświadczył, iż dlatego wypłynął z zatoki, bo wolał zaryzykować walkę na otwartem morzu, aniżeli ginąć jak w pułapce na myszy.

Departament wojenny pragnie, aby obecnie przystąpiono jak najrychlej do bombardowania ważniejszych miast na wybrzeżu Hiszpanii, gdyż ostatnie wypadki ułatwiają to znakomicie.

Madryt 5 lipca. Do dziś rana nie nadeszło jeszcze żadne potwierdzenie o zniszczeniu floty Cervery. Wszystkie depesze donoszą to tylko, że Cervera wypłynął z zatoki Sant Jago i stoczył bitwę na otwartem morzu.

Z Hongkongu nadeszła depesza, donosząca, że wczoraj miano zaatakować Manilę od strony lądu.

Bochnia 5 lipca. *Głos Narodu* doniósł w dzisiejszym numerze, iż w mieście naszem powstał pożar trzech objektów koszar wojskowych i że schwytano jednego żyda w chwili, gdy wzniecał ogień, inny zaś żyd uciekł od miejsca pożaru. Otóż wiadomość ta jest tendencyjnie zmyśloną, gdyż pożaru takiego wcale tu nie było, a tylko w dwóch miejscach jednocześnie powstał pożar onegdaj w domach żydowskich, lecz — choć zachodzi podejrzenie, że ogień w obu wypadkach został podłożony, dotychczas sprawców nie wykryto.

Wiedeń 5 lipca. Ogłoszono komunikat o onegdajszej konferencyi wiernokonstytucyjnej wielkiej własności niemieckiej, w którym stwierdzono, że wobec tego, iż stronnictwo to niejednokrotnie wyrażało gotowość swą popierania usiłowań mających doprowadzić do porozumienia, przyjmie ono zaproszenie do nieobowiązujących do niczego konferencyi z prezesem gabinetu w sprawie językowej. Dzienniki liberalne donoszą, że niemiecka partya ludowa i partya postępowa nie przyjmą zaproszenia rządu.

Poznań 5 lipca. Prezes rejencyi poznańskiej zawiadomił komitet, zajmujący się urządzeniem zjazdu polskich lekarzy i przyrodników, że udział cudzoziemców w tym zjeździe jest niedopuszczalny i że każdy cudzoziemiec, który przybędzie na ten zjazd, zostanie w drodze przymusowej wydalony z granic państwa pruskiego.

Berlin 5 lipca. Dziennik *Post* omawia znów sytuacyę w Austryi i pisze, że Niemcy austryaccy, upierając się przy żądaniu bezwarunkowego zniesienia rozporządzeń językowych, pogarszają tylko swoje położenie.

Rzym 5 lipca. Rozwijając w dalszym ciągu program rządowy, rzekł jenerał Pelloux, że programem rządu jest praca, spokój, sprawiedliwość i obrona kraju. Porządek musi być bezwarunkowo utrzymany, a istniejące urządzenia ochronione. Rząd dążyć będzie do uspokojenia umysłów w kraju i do utrzymania najlepszych stosunków ze wszystkiemi zaprzyjaźnionemi i sprzymierzonemi państwami i do poprawy stosunków ekonomicznych, bez narażenia jednak na szwank budżetu. W końcu zapowiedział Pelloux, że w listopadzie przedłoży parlamentowi cały szereg projektów ustaw.

W debacie nad oświadczeniem rządu zabierali głos radykałowie Barzilai i Luzatto, socyalista Ferri i dep. Vischi z lewicy.

HOTEL IMPERIAL.
pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.
Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 5 lipca Z hr. Lasocki z M. Weisskirchen. W. Jełowicki z Podola rosyjskiego. K. Żeleński, A. Swiderski i S. Pniewski z Krakowa. S. Wybranowski z żoną z Kimirza. K. Szepietowski, E. Bocheński, J. Matuszewski i S. Berson z żoną z Krakowa. Ks. A. Małaczyński z Firlejówki i dr. B. Alter z Złoczowa.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 5 lipca. M. Starzewski z Krakowa. W. Pieniążek z Lipinki. Amster z Czerniowiec. M. Salowa z Wysocka. M. Zieliński z Wordliczówki. R. Ingarden z Krakowa. J. Szopski z Sanoka. M. Wache z Targandrofu.

NADESŁANE.
Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 5 lipca. (Z Izby handlowej).
Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210.50 do 213.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 291.00 do 294.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 577.— do 387.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Saxoku 256.— do 260.—.
Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat z 10 proc. prem. 110.30 do 111.— 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.30 do 101.00, 4 proc. los. w 60 lat 96.50 do 97.20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 101.00 do 101.70, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (losujące) 97.50 do 98.20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat 96.40 do 97.10.
Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98.40—99.00, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 000.— Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do —.—, Pożyczki kraj. 6 proc. 108.00 do —.—, 4 proc. z 1893 r. 98.00 do 98.70, 4 proc. po 2 koron z 1893 roku 96.20 do 96.90.
Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.49 do 9.59. Półimperyał 9.47 do 9.57. Rubel rosyjski papierowy 126.50 do 127.50. 100 marek niemieckich 58.50 do 59.00.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH
obowiązujący z dniem 1 maja 1898 (czas środkowo-europejski).

Pociąg pośp. przyjazd o godz.	Pociąg osob. przyjazd o godz.	Do Lwowa:
–	3·04	Z Podwołoczysk na dworzec Podzamcze
–	3·5	Z Podwołoczysk na dworzec główny
3·1	–	Z Krakowa (Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy), z Orłowa, Chabówki, przez Rzeszów, z Sambora przez Przemyśl
–	6·45	Z Ickan, (Rumunii, Bukowiny, Husiatyna i Kałusza)
–	7·30	Z Zimnej wody od 8 maja do 11 września
–	7·40	Z Janowa
–	7·50	Z Tarnopola i Brodów na dworzec Podzamcze
–	7·55	Ze Sokala i Rawy ruskiej
–	8·05	Z Ławocznego (Peszta, Kałusza, Chyrowa i Stryja)
–	8·15	Z Tarnopola i Brodów na dworzec główny
–	9·05	Z Krakowa, (Wiednia, Berlina, Wrocławia Warszawy, z Orłowa, Peszta) Chyrowa
–	8·35	Z Ickan, z Suczawy
–	10·45	Z Jarosławia
–	1·01	Z Janowa
1·30	–	Z Krakowa, (Wiednia, Chabówki, i N. Sącza)
–	1·40	Ze Skolego i Stryja, Kałusza i Chyrowa.
1·50	–	Z Czerniowiec, (Rumunii, Husiatyna i Kałusza)
2·15	–	Z Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, na dworzec Podzamcze
2·30	–	Z Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, na dworzec główny
–	5·00	Z Podwołoczysk (Kijowa, Odessy) Grzymałowa, Kozowy, Brodów, na dworzec Podzamcze
–	5·25	Z Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Grzymałowa, Kozowy, Brodów, na dworzec główny
–	5·40	Z Ickan, (Rumunii, Kozowy)
–	5·55	Z Sokala, Bełzca i Lubaczowa
–	6·10	Z Krakowa, (Wiednia), Wieliczki, Orłowa, Rozwadowa, Nadbrzezia, Sambora i Chyrowa przez Przemyśl
–	7·57	Z Janowa od 1 maja do 31 maja wł. i od 16 września do 30 września wł. codziennie, od 1 czerwca do 15 września tylko w święta i niedziele
–	8·12	Z Brzuchowic od 8 maja do 30 czerwca wł. i od 16 sierpnia do 11 września wł.
–	8·31	Z Brzuchowic od 1 lipca do 15 sierpnia wł.
8·45	–	Z Krakowa, (Wiednia, Krosna, Iwonicza, Rymanowa Sanoka, Jasła przez Rzesz. i Rawy r. przez Jarosław
–	8·53	Z Janowa od 1 czerwca do 15 września wł. tylko w dni powszednie
–	9·10	Z Krakowa, (Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy) Wieliczki, Rawy ruskiej przez Jarosław Jasła, Krosna, Iwonicza, Rymanowa, Mezo-Laborcza przez Przemyśl
9·29	–	Z Podwołoczysk (Kijowa, Odessy) Brodów, Kopyczyniec na dworzec Podzamcze
9·45	–	Z Ickan, (Rumunii, Słobody r., Husiatyna, Kozowy)
9·55	–	Z Podwołoczysk, (Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec na dworzec główny
–	10·35	Ze Skolego, Stryja i Chyrowa
–	12·15	Z Ławocznego (Peszta) Stryja i Kałusza

Pociąg pośp. odjazd o godz.	Pociąg osob. odjazd o godz.	ze Lwowa:
–	4·10	Do Krakowa (Wiednia) Chyrowa, Sambora, Rozwadowa, Nadbrzezia, Sanoka, Rymanowa, Iwonicza, Krosna, Rawy ruskiej
–	5·20	Do Ławocznego (Munkacsa, Peszta) Chyrowa
6·00	–	Do Podwołoczysk, Brodów, Podwysokiego z dw. gł.
6·05	–	Do Ickan, Jass, Bukaresztu, Kozowy, Suczawy
6·15	–	Do Podwołocz., Brodów, Podwysokiego z dw. Podz.
8·35	–	Do Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina) Rozwadowa, Nadbrzezia
–	8·50	Do Krakowa, (Wiednia, Warszawy, Berlina), Sanoka, Chyrowa, Iwonicza, Rymanowa, Stróżego i do Peszta
–	9·15	Do Skolego, Hrebenowa, Kałusza i Chyrowa od 10 lipca do 31 sierpnia wł.
–	9·25	Do Janowa
–	9·35	Do Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna Podwysokiego z dworca głównego
–	9·53	Do Podwołoczysk, Brodów, Podwysokiego, Kopyczyniec, Husiatyna z dworca Podzamcze
–	9·55	Do Bełzca, Rawy ruskiej, Sokala
–	10·55	Do Ickan (Jass, Gałacu, Bukaresztu) Kozowy,
–	12·55	Do Janowa od 1 lipca do 15 września tylko w niedzielę i święta
1·55	–	Do Podwołoczysk, Brodów z dworca głównego
2·08	–	Do Podwołoczysk, Brodów z dworca Podzamcze
–	2·15	Do Brzuchowic tylko od 8 maja do 11 września wł. w niedziele i święta
2·40	–	Do Czerniowiec, (Rumunii), Husiatyna, Kałusza
2·50	–	Do Krakowa, Rawy ruskiej, Jasła i Chabówki
–	3·00	Do Stryja
–	3·11	Do Janowa
–	3·25	Do Zimnej wody od 8 maja do 11 września wł.
–	3·35	Do Brzuchowic od 8 maja do 11 września wł.
–	4·55	Do Jarosławia, Sambora
–	6·20	Do Janowa od 1 czerwca do 15 września wł. tylko w dni powszednie
–	6·30	Do Ickan, Radowiec
–	6·40	Do Krakowa (Wiednia, Warszawy, Wrocławia, Berlina, Peszta) Orłowa przez Tarnów
–	6·55	Do Tarnopola z dworca głównego
–	7·00	Do Ławocznego, Stryja, Chyrowa i Kałusza
–	7·10	Do Sokala, Rawy ruskiej
–	7·15	Do Tarnopola z dworca Podzamcze
–	8·4	Do Janowa od 1 maja do 31 maja i od 16 września do 30 września codziennie, od 1 czerwca do 15 września w niedziele i święta.
–	10·05	Do Ickan (Rumunii) Husiatyna, Kałusza)
10·40	–	Do Krakowa (Wiednia, Warszawy i Berlina) Chabówki, Rozwadowa, Chyrowa, Rymanowa, Iwonicza, Sanoka i Jasła
–	11·00	Do Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec i Husiatyna z dworca głównego
–	11·27	Do Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec i Husiatyna z dworca Podzamcze

Uwaga. Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czasu środkowo-europejskiego równa się godz. 12·36 podług zegaru lwowskiego.

Nocne godziny od 6 wieczorem do g. 5 m. 59 rano objęte są tłustemi ramkami. — Biuro informacyjne c. k. kolei państwowych przy ulicy Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial), udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych, sprzedaje wszelkiego rodzaju bilety jazdy i rozkłady jazdy w formacie kieszonkowym.

22)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

D. GERARD.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Przepadam za pieczonemi kartoflami — odparł sir Andrzej, wchodząc za nią do obszernego pokoju, w którym Elwira zgromadziła wszystkie pozostałe meble z Marienhofu i gdzie zwykła była spędzać wolne od pracy chwile.

— Więc tutaj mieszkasz? — spytał, rozglądając się ciekawie po obielonych ścianach, podbelkowanym suficie, drewnianych stołach i krzesłach i wielkim, zielonym, kaflowym, staroświeckim piecu, dokoła którego biegła kolista ława. Jedynym przedmiotem, stanowiącym niejako ozdobę pokoju, była mała fotografia hrabiego Emila Eldringena, czarno oprawna i zawieszona na ścianie pomiędzy oknami.

— Tak, mieszkam tutaj — odparła Elwira, ścierając szybko niedostrzeżony pyłek na ławie. — To jest mój salon, a to honorowe w nim miejsce, a przynajmniej najwygodniejsze siedzenie, jakie mogę ci kuzynie, ofiarować, choć nie jest ono najprzyjemniejsze zimową porą. Proszę, usiądź i opowiedz mi, jakim sposobem zawędrowałeś aż do Glockenau, a ja tymczasem rozpalę ogień.

— Przecież niepodobna, żebyś to sama chciała uczynić! — zawołał sir Andrzej przerażony. — Pozwól mi zawołać kogoś...

— Kiedy nie ma nikogo do zawołania — spokojnie odparła Elwira. — Któżby rozpalał ogień, gdyby nie ja?

— Jakaś służąca, przypuszczam... Ktoś, kto to zawsze czyni.

— Ależ ja zawsze sama czynię to co wieczór. Mówisz tak, kuzynie, jak gdybyś sądził, że mam cały sztab sług na moje rozkazy. Zapominasz, że jestem biedną dziewczyną.

— Tak, to idyotycznie z mojej strony... przepraszam cię najmocniej.... ale nie rozumiem....

Tu sir Andrzej nie dokończywszy myśli swojej, usiadł zakłopotany na krześle, które mu podsunęła i śledził zamyślonemi oczyma Elwirę, która zarumieniona i nieco podniecona krzątała się około przygotowań do wieczerzy. Zapaliła i postanowiła na stole małą olejną lampkę, której blask ukazał jej w pełni rysy sir Nevylla, zaledwie widziane w mrokach wieczoru.

Znać było, że ten człowiek musiał być niepospolicie pięknym za młodu; nawet teraz w czterdziestym drugim roku życia, trudno było pominąć go niepostrzeżenie. Nietylko wyniosła jego postać i szeroka budowa ramion przykuwały oko, ale szlachetny kształt jego głowy i głębokość spojrzenia. Co stracił na młodocianym wdzięku, to zyskał na wyrazie. Twarz jego była jakby księgą życia, której treści raczej domyśleć się niż doczytać można było w bruzdach szerokiego czoła, w zadumanem wejrzeniu ciemnych oczu i w przedwczesnych srebrnych nitkach, przeglądających z bujnych kasztanowatych włosów. — W chwilach spoczynku twarz jego powlekała się jakby wyrazem znużenia czy niezadowolenia, które znikało raptownie, gdy zaczynał mówić.

— Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje zapytanie — rzekła Elwira, kładąc naręcze polan do pieca.

— Chcesz wiedzieć, co mnie tu sprowadziło? Nic innego, tylko chęć zobaczenia ciebie.

— Zobaczenia mnie?

— Tak jest Dręczyła mnie cały rok ciekawość, jak też wyglądać może młoda dziewczyna, która nietylko że potrafi prowadzić gospodarstwo na własną rękę, ale jeszcze umie ciągnąć z niego korzyści. Nie wiem jednak, czybym zdobył się był na energię przyjechania tutaj, bo trzeba ci wiedzieć, że jestem najniedołężniejszym człowiekiem pod słońcem, gdyby twój ostatni list nie dodał mi bodźca. Zastał mnie on, jak wiesz, na kontynencie, gdzie nie byłem od lat wielu, ale hrabia Sickern z bawarskiej ambasady zaprosił mnie do siebie na polowanie na kozy, i dałem się namówić. Tam otrzymałem twój list, a logiczne argumenta, jakiemi poparłaś twoją odmowę pieniężnej pomocy, do tego stopnia podnieciły moją wyobraźnię i ciekawość, że rzuciłem kozy i przyjechałem tutaj. Nigdy jeszcze w życiu nikt nie wsypał mi takiej bury, jak ty, więc nie mogłem powrócić do kraju, nie przekonawszy się, jak też wygląda ta surowa i nieprzejednana osóbka.

— Jednem słowem, przyjechałeś przyjrzeć mi się jakby jakiejś osobliwości?

— Obawiam się, że tak jest w istocie.

— No, i czy znalazłeś mnie taką jak sobie wyobrażałeś?

Zadając zupełnie naturalnym tonem to pytanie, Elwira podniosła się z klęczącej postawy i stanęła wyprostowana obok pieca. Spojrzała bardzo poważnie na swego gościa, strzepując z fartuszka drzazgi drzewne.

Bywają kobiety, których piękność nie uderza na pierwszy rzut oka, ale raczej stopniowo przenika widza; które coraz to inaczej przedstawiają się i których wdzięki, zależne niejako od okoliczności i usposobienia danej chwili, pociągają raczej zmysły niż je ujarzmiają. Bywają znów inne, których wszechpotężny urok ujawnia się całkowicie i odrazu, nie zapożyczając nic od otoczenia.

Elwira należała do tej drugiej kategoryi. W klasycznej jej piękności była jakaś surowa niemal prostota, która biła w oczy. Jej alabastrowa cera o żywej karnacyi, siwe, pięknie oprawne oczy, pełne blasku, kształtna kibić, rysująca się pod niezgrabnemi fałdami kaftanika, tworzyły całość tak doskonale piękną, że nawet w niekorzystnem przebraniu wyglądała jak młoda bogini lub królewna.

— Nie — odparł sir Andrzej po chwili namysłu. — Wyobrażałem sobie ciebie inaczej.

— Okazuje się więc, że oboje mieliśmy mylne wyobrażenie o sobie — rzekła spokojnie Elwira, zdejmując talerze z półek. — To zabawne. Czy wiesz, kuzynie, że nie wiem dlaczego wyobrażałam sobie, że musisz cierpieć na podagrę?

Sir Andrzej wybuchnął znowu zaraźliwym śmiechem.

— Na podagrę! A to paradne! Ha! ha! ha! Na miłość Boską — przerwał nagle, zrywając się z miejsca — to już więcej niż znieść mogę! Przecież nie masz chyba zamiaru skrobania tych kartofli?

— Ależ przeciwnie. Mówiłam ci, że nie mam służącej.

— Ale niepodobna przecież, żebyś nie miała jakiejś kucharki? Wszyscy na świecie mają kucharkę.

— Ja nie mam żadnej. Dawniej trzymałam dziewkę do krów, ale po powodzi musiałam ją odprawić, bo nie było czem jej płacić. Że zaś teraz nie mam krów, więc obchodzę się bez niej.

— Wielki Boże! Więc ty jesteś tutaj w domu sama jedna, jak palec! — zawołał, zdjęty zgrozą. — Czyż podobna, abyś sama... sama nawet obuwie swoje czyściła?

— Naturalnie, kiedy mnie stać na szuwaks.

— To jest okropne... okropne! I lubisz to zajęcie?

— Nędzarze nie mają wyboru pracy — odparła Elwira. — Ale dlaczego cię to tak dziwi? Wszak wiedziałeś, że zaledwie mam co jeść?

— Niby wiedziałem, ale to nie przedstawiało mi się tak źle w listach — odparł sir Andrzej szczerze zafrasowany. — Nigdy sobie nie wyobrażałem, żeby aż do tego doszło, żebyś musiała sama rozpalać ogień, skrobać kartofle i czyścić trzewiki własnemi rękami... A młode panienki w twoim wieku takie są dbałe o swoje ręce. Utrzymują, że wszystko je niszczy...

Elwira położyła trzymany w ręku kartofel.

— Patrz, cóż tu jest do zniszczenia? — spytała, śmiejąc się.

Ręce, które wyciągnęła do niego przez stół, były bez zarzutu pod względem kształtu; długie, wąskie, o podłużnie zakończonych palcach, ale szorstkie w dotknięciu i opalone od słońca. Widok tych spracowanych, arystokratycznych dłoni tak silnie i przejmująco wrażenie sprawił na sir Andrzeju, że przez długą chwilę nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Ale choćbyś już nie trzymała więcej służby — rzekł w końcu — przecież bez jakiejś kucharki nie możesz się obejść. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby kto nie miał kucharki.

— Posłyszysz jeszcze inne dziwniejsze rzeczy, jeżeli zechcesz dalej uprawiać moją znajomość. No, jak ci się też zdaje, kuzynie, ile wynosić może pensya kucharki?

— Nie mam pojęcia, to przechodzi zakres moich wiadomości. Maillac bierze, zdaje mi się, coś, czy sto pięćdziesiąt funtów. Nie pamiętam, doprawdy.

— Któż to jest Maillac?

— Naczelnik kuchennego mojego wydziału, francuz. Znakomite robi potrawki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka hotel Zorza Zarządca W. Hodak.